

## ELIZABETH BARNES

### Letnie wspomnienia

#### ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Co za korek! - Kierowca ze złością zahamował i uniósł ręce w górę. Jego wóz znów utkwiał na jednej z wąskich, krętych ulic Bostonu. Ruch w wieczornych godzinach szczytu był nie do opisania. - Jeszcze gorzej niż zwykle - mruknął ponuro. Potem zwrócił się do pasażerki: - Nie spieszy się pani, prawda, lady?

- Nie - zapewniła. - To zresztą nie pana wina. Gdybym przyleciała później, uniknęłabym tłoku.

- Trzeba było! - rozejrzał się po ulicy, stwierdził, że nie może ruszyć i jeszcze raz popatrzył na kobietę. Niezła - pomyślał -młoda i bez fochów. - Pani tutejsza czy przyjezdna? - zapytał z nadzieją na zabicie czasu małą konwersacją.

- Tutejsza - odpowiedziała Serena. - Od urodzenia. -Prawdziwa bostonka...! - Ze starej jankeskiej rodziny, odgadł. Szczupła, atrakcyjna, o niewyzywającej urodzie i umiarkowanych

kształtach. Ubrana była niezbyt efektownie, jak na jego gust, ale rzeczy miała w dobrym gatunku. Może na tym polega słynna „skromna elegancja”, jaka ponoć cechuje ludzi z klasą. Z całą pewnością pochodzi z bogatej rodziny. Zdradza ją wygląd. No i adres: prawa strona Beacon Hill, tam mieszkają ludzie z wyższych sfer.

- Założę się, że płynie w pani żyłach prawdziwie błękitna krew.

- Nie wiem, co ma pan na myśli - zeszywniała. - Nigdy nie uważałam, że to może mieć jakiegokolwiek znaczenie.

- Może nie - przyznał jej rację. To miło, że nie jest nadęta. - Ale ludzi interesuje Beacon Hill. Mieszka tam pani z rodzicami?

- Nie! Z mężem.

- Taka młoda! - gwizdnął. - I od samego początku ma wszystko. Co pozostaje do zdobycia, jeśli zaczyna się od domu na Beacon Hill?!

- On wcale nie jest duży! Ma tylko sześć pokoi - odparła. Niezbyt duży, pomyślała, ale cacko. Wspaniale odrestaurowany, gustownie umeblowany dobrymi antykami. A przecież są to jedynie puste ściany, a nie prawdziwy dom. Pozory, nic nie znaczące pozory.

- Zawsze to Beacon Hill! Już mężatka, dom na Beacon Hill... Pani i mąż macie wszystko! - Przejechał parę metrów.

Wszystko? Dobre sobie! - zadrwiła w duchu i zamyśliła się.

Wszystko, co należy do niej i Johna - to martwe przedmioty. Ich małżeństwo jest fikcją, zimną, beznamiętą transakcją, którą zawarli...

- Spodziewałem się tego. - John nie był wcale zaskoczony, gdy oznajmiła, że nie będzie z nim spać.

- Widzę, że się urządzasz - rzekł później, gdy przenosiła swoje rzeczy z sypialni do małego pokoju gościnnego. - Powinienem cię ostrzec... Nigdy dotąd nie pozwoliłem się nikomu oszukać. I nie pozwolę na to teraz.

- Nie martw się! Będę przyjmować twoich gości, chodzić na właściwe przyjęcia, prowadzić takie życie towarzyskie, jakiego tylko zapragniesz. Nie oczekuj jednak ode mnie niczego, kiedy będziemy sami.

- Możemy jechać - oznajmił taksówkarz i skręcił w boczną ulicę.

Najgorszy tłok został za nimi. - To już siedziba władz stanowych

- pokazał ręką, gdy mijali złotą kopułę błyszczącą w deszczowej nocy. - Pamiętam, kiedy był on najwyższym budynkiem na

Beacon Hill. Teraz postawiono za nim wiele nowych domów, ale on ciągle panuje. Rozumie pani, co mam na myśli?

- Tak! - Rozumiała. Złota kopuła wciąż dominowała na Beacon Hill, nie poddając się wieżowcom, spośród których kilka zbudował John.

- Prawie jesteśmy na miejscu-powiedział kierowca i skręcił w boczną uliczkę, potem w wybrukowany kocimi łbami zaułek. - Numer 5, powiedziała pani?

-Tak.

Dom stał na końcu zaułka. Skromny, ale solidny: dwa piętra starej cegły i granitu, z czarnymi drzwiami i okiennicami. W oknach paliło się więcej światła niż zwykle, stwarzając pozory powitania i ciepła.

Wstrzymała oddech, gdy na schodach pojawił się mąż. Uliczna lampa wyraźnie oświetlała jego wysoką, szczupłą sylwetkę.

Wyjściowy garnitur nie był w stanie ukryć siły muskularnego ciała. Miał twarz ciemnego anioła, o rysach czystych i wyrazistych, delikatnie rzeźbionym nosie, mocnej szczęce, ustach, które - jeśli się nie uśmiechały - potrafiły być bezwzględne, a nawet okrutne.

Uśmiechnął się teraz i Serena z przyjemnością popatrzyła na jego zmysłowe wargi.

- Zajmę się taksówką - powiedział, gdy sięgnęła po pieniądze.

Pochylił się, aby pomóc jej wysiąść, i objął, gdy stanęła obok na chodniku. - Jestem zaskoczony! Wróciłaś wcześniej - uśmiechnął się, widząc jej zmieszanie.

- Mój błąd! - spojrzała zdziwiona próbując zrozumieć tę nagłą odmianę. To już prawie miesiąc, jak zabrała swoje rzeczy z jego pokoju, już prawie miesiąc, jak ostatni raz jej dotknął, jak odezwał się do niej ciepłej.

- Nie było sensu siedzieć tam po zakończeniu konferencji, więc przyleciałam. - Przerwała na chwilę, aby zaakcentować to, co miała powiedzieć: - Szkoda, że nie zaczekałam na ostatni lot.

- Oczywiście - dorzucił z ironią - aby nie wlec się w tłoku.

- Między innymi - odparła równie uszczypliwie.

- Zastanawiam się - napięcie w nim rosło - dlaczego nie zostałam na kilka dni. Mogłabyś sobie zrobić małe wakacje.

-Co?! I rozczarować... - przedłużała tę chwilę, widząc jego zniecierpliwienie, pytające błyski w oczach - ...profesora

Brandensona?!

- Nie możemy na to pozwolić. - Przyciągnął ją do siebie -  
Nieważne dlaczego, ważne, że wróciłaś. Tęskniłem za tobą.

- Ależ to... - chciała powiedzieć: absurd, lecz on skutecznie zamknął jej usta gorącym pocałunkiem. Co się dzieje? -  
zastanawiała się zaskoczona.

- Biedactwo! Trzymam cię tu na deszczu... Muszę cię ostrzec:  
mamy gościa. Przyjechała Cynthia.

- Co ona tu robi?

- To długa historia. Sama ci ją opowie. Zadowolona z szansy ucieczki pospieszyła do domu i znalazła swą przyrodnią siostrę w drzwiach salonu. Jak zwykle, Cynthia była uosobieniem niedbałej elegancji. Ubrana była w czekoladowobrązowe wełniane spodnie i subtelną blad różową bluzeczkę. Trzy górne guziczki były odpięte, by zwrócić uwagę na bardziej oczywiste walory, zauważyła bezlitośnie Serena. Cynthia miała niezwykle podniecające kształty, jak na kogoś tak drobnego i delikatnego. Miała też wspaniałe złote włosy, jasnoniebieskie oczy i olśniewającą cerę. Jednym słowem - była cudowna, co w dzieciństwie Serena akceptowała bez zastrzeżeń.

Teraz jednak nie mogła się z tym pogodzić! Nikt, nawet przez pomyłkę, nigdy nie nazwał Sereny cudowną. Uważała siebie za dość ładną, jednak nie było nic urzekającego w owalu jej twarzy, prostym nosie, przeciętnych ustach. Miała zwyczajne brązowe oczy i zwyczajne brązowe włosy, upięte zwykle z tyłu głowy. Tego wieczoru kontrast między nimi był wyraźniejszy niż zwykle. Kok Sereny, jakby stłamszony doskonałością Cynthi, zaczął się rozsypywać. Niesforne kosmyki wymykały się spod spinek. Serena poczuła się zmęczona i brzydka.

Miała za sobą długi dzień, jej prosty, beżowy kostium był pognieciony. Obraz nędzy i rozpacz - myślała zdesperowana. A potem zadała sobie pytanie: Dlaczego ją to obchodzi? Nie rywalizowały między sobą, nie zanosilo się na to, by John miał wybierać między nimi. Oczywiście, gdyby kiedykolwiek miał... Jasne, że każdy mężczyzna wolałby Cynthię, lecz czy to ważne? Byłoby nawet lepiej...

- Czy John powiedział ci, dlaczego przyjechałam? Porzuciłam męża i rodzice wściekli się na mnie. Kazali mi wrócić do Houston. Do Houston, na miłość boską! Ale nie pojedę. Nie mogę! - Walczyła ze łzami. - Och, Sereno! To straszne! - załkała Cynthia.

- Poczekaj! Serena miała ciężki dzień - rzekł John, który wrócił z bagażem. - Chciałabyś się przebrać, prawda?

- Ja... Tak, chyba tak - zgodziła się potulnie.

- Zaniosę ci walizkę. To żaden kłopot - zapewnił, jakby spodziewał się sprzeciwu.

Chciała zaprotestować, ale zrezygnowała. Jego palce wbiły się boleśnie w jej ramię, przestrzegając przed otwarciem ust.

- Naturalnie, kazałem pani Hutchins ulokować Cynthię w pokoju gościnnym - powiedział mimochodem, gdy próbowała zatrzymać się na pierwszym piętrze, ale nie było niczego niedbałego w mrocznym spojrzeniu, które ją uciszyło, ani dotyku jego dłoni, która prowadziła ją na drugie piętro.

Do jego sypialni, myślała Serena i czuła, że jest zgubiona. Do tej sypialni, do której przysięgała już nigdy nie wejść. Było jasne, że nie ma wiele do powiedzenia. To był cały on: ta władczość i siła woli, do których się uciekał, ilekroć chciał coś osiągnąć.

Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi sypialni, wyprostowała się i zapytała chłodno:

- Dlaczego zmusiłeś mnie do przyjscia tutaj?



- Bo trudno byłoby ci dzielić pokój gościnny z Cynthia. Jest tam tylko pojedyncze łóżko, nie ma dość miejsca w szafie...

- Wiem o tym - powiedziała sucho. - To nie jest odpowiedź. Nie rozumiem, dlaczego tu przyjechała.

- Słyszałaś przecież. Porzuciła męża.

- To jej problem - odparowała. Złość dodawała jej odwagi.

Konieczność opuszczenia pokoju gościnnego osłabiła współczucie dla Cynthii. - To nie ma nic wspólnego z nami.

- A groźba rodzinnego skandalu? Ojciec i Lillian nie zgodzili się jej przyjąć. Kazali jej wracać do Houston.

- Świetnie! Niech wraca do Houston.

-Ale nie chce! Przyjechała bez pieniędzy, bez strojów...

- Cynthia bez strojów! - wykrzyknęła drwiąco Serena. Pamiętała wygląd siostry. Jak modelka z żurnala! - Nie przyleciała z

Houston w tym, co ma na sobie. Założę się, że ma pełno ciuchów ze sobą. Zawsze ma!

- Nie tym razem. Dziś rano wybuchła wielka kłótnia między nią a Gregorym. Cynthia wypadła z domu nie zabierając niczego. Po odmowie rodziców przyszła do mnie do biura. Opowiedziała, co się stało. Potem wysłałem ją po zakupy.

- Bardzo szlachetnie! Lecz ciągle nie wiem dlaczego!

- Aby uniknąć skandalu - powtórzył cierpliwie. - Gdybym nie pozwolił jej zatrzymać się u nas, telefonowałyby do znajomych tak długo, aż znalazłaby kogoś, kto by ją przygarnął.

- Ale ja ciągle nie rozumiem...

- Zrozumiałabyś, gdybyś trochę pomyślała. Wyobraź sobie Cynthię, jak otwiera notatnik z adresami i opowiada wszystkim przyjaciółkom o swoim nieszczęściu.

- No to co?! - zawołała Serena. - To mnie nie obchodzi.

- Ale mnie obchodzi - rzucił przez zęby. Przyciągnął ją bliżej, jego oczy przeszywały i trzymały w niewoli równie skutecznie jak uchwyt dłoni. - Drogo zapłaciłem za przywilej wejścia do tej rodziny - przypomniał z sarkazmem. - Za drogo, aby zgadzać się teraz na skandal. Postaramy się to załagodzić i udawać, że nic się nie stało.

- Słowo daję! - próbowała się roześmiać. - Jesteś drobnomieszczkański! Jak ojciec!

- Nigdy więcej tego nie mów! - ostrzegł ją, a jego oczy płonęły gniewem. - Możesz mnie nie lubić, ale ja nigdy nie sprzedałem kogoś, kogo kochałem.

Nie mogła na to odpowiedzieć. Jego słowa zadawały ból nie do zniesienia. Szarpnęła się mocno, zdecydowana uwolnić się z jego uścisku, ale on przytrzymał ją jeszcze przez chwilę, aby pokazać, że jest od niej silniejszy. Gdy ją puścił, podeszła do jednego z okien i oparła czoło o zimną szybę.

- A co do Cynthii... - zaczął John - to zrobimy wszystko, aby ta wizyta wyglądała zwyczajnie.

- Nikt w to nie uwierzy - rzekła głucho. - Nikt, kto zna Cynthię i mnie.

- Wszystko się zmienia - stwierdził łagodnie. - Teraz, gdy obie jesteście mężatkami, macie ze sobą więcej wspólnego. To naturalne, że składa nam wizytę i że chce pobyt trochę z tobą, a nie z rodzicami.

- Wiadomo, jak Lillian i Cynthia są ze sobą zżyte.

- Trudno. Teraz, gdy... - zawahał się chwilę - gdy nasz miodowy miesiąc się skończył, jest zrozumiałe, że chcesz poświęcić Cynthii więcej czasu.

- Nie mam dla niej czasu. Jestem zbyt zajęta na uczelni - przypomniała mu Serena. - Nie mogę tego zrobić.

- Oczywiście, że możesz. Po tym, jak ostatnio ciężko pracowałaś, Brandenson powinien dać ci trochę wolnego.

Tak pewny siebie, tak przekonany, że mu się nie sprzeciwię...! I chyba słusznie - przyznała. Trudno będzie walczyć z nim na każdym kroku. Już teraz czuła się zmęczona życiem w ciągłym napięciu, bezsilna wobec zimnych spojrzeń, przytłoczona ciężarem nie wypowiedzianych słów.

John poruszył się za jej plecami. W ciemnych płaszczyznach szyb widziała jego odbicie. Przetrzęsał zawartość jednej z szaf, która kiedyś należała do niej.

- Teraz są tu twoje rzeczy - powiedział John. Czytał w jej myślach? - Gdy zorientowałem się, że Cynthia zostaje u nas, zatelefonowałem do pani Hutchins i kazałem jej opróżnić pokój gościnny.

- Dlaczego? - Serena odeszła od okna, aby go lepiej widzieć. Szukał czegoś między jej sukniami. Jakby miał na własność te rzeczy... i mnie! - pomyślała z gniewem, który nagle w niej zapłonął i zaraz przygasł. W końcu miał ją na własność i to w najbardziej dosłownym znaczeniu tego słowa. - Jeśli Cynthia nie przywiozła niczego z Houston, to nie potrzebuje wiele miejsca.

- Nie myślałem o wygodzie Cynthii - wyjaśnił jej beznamiętnie. -  
Chciałem się tylko upewnić, że będziemy tworzyć wspólny front.

Ona nie może się dowiedzieć prawdy o nas.

- Ależ ona wie! To ona pierwsza mi powiedziała.

- To ty tak twierdzisz - rzekł z niedowierzaniem. Nie słuchał, gdy  
po raz pierwszy próbowała mu to wyjaśnić, nie wierzył jej i teraz.

- A skąd może wiedzieć, że nic się nie zmieniło między nami?

Miesiąc wspólnego życia może dziać cuda.

- Chcesz ją przekonać, że w tym czasie zakochaliśmy się w sobie  
do szaleństwa?

-O to właśnie chodzi - rzekł zdecydowanie. -Lecz nie ja sam będę  
ją przekonywać. Ty musisz mi pomóc.

- Nigdy!

- Pomożesz mi, Sereno! - zabrzmiało to jak rozkaz. - To jest  
częścią pracy, którą zgodziłaś się wykonać.

- A jeśli odmówię?

- To pożałujesz.

Kropka. Koniec dyskusji - pomyślała i zadrżała.

- Włóż to - wyjął z szafy ciemnoróżową suknię wieczorową i podał jej. - Włóż to, Sereno! - rozkazał, kiedy się nie ruszyła. - Włóż albo ci w tym pomogę.

- Dobrze - rzekła w końcu i sięgnęła po suknię. Zasłoniła się nią jak tarczą. - Ale musisz wyjść, jeśli mam się przebrać.

- Przykro mi, moja droga - zaszczycił ją wyrozumiałym uśmiechem - lecz zostaję, jeśli chcesz, to się odwrócę.

- Ja też - rzekła i szybko zrzuciła kostium i bluzkę na podłogę. Miękki kaszmir sukni łagodnie przylgnał do jej piersi i uwypuklił je. Wprost nieprzyzwoicie! - stwierdziła, wściekła na Johna za ten wybór, o to, że sprowadzał ją do roli obiektu seksualnego.

- Jestem gotowa - oznajmiła chłodno, odwróciła się ku niemu i zaczerwieniła, ujrawszy uśmiech, z jakim na nią patrzył. -

Zadowolony? - zapytała. Uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Bardzo. - Obejrzał ją dokładnie, nie pomijając niczego, zatrzymując wzrok na wyniosłościach piersi.

- Bardzo dobrze, z wyjątkiem włosów. Chcę, żebyś je rozpuściła. Zanim zdołała odwrócić się do lustra, był już przy niej. Poczwała na włosach jego oddech i palce delikatnie szukające spinek. Nie! - wołała w duszy, poddana torturze pamięci, nie znajdując w sobie

ani odwagi, ani woli, by zakończyć tę chwilę. Bała się nawet odetchnąć.

-Teraz o wiele lepiej - stwierdził, gdy skończył. Wzrok miał zamglony, a jego palce ciągle błądziły w jej włosach. - Wyglądasz tak jak latem - powiedział zmienionym głosem. - Ale niezupełnie. Brak ci tylko pocałunku.

-Nie!

- Tak! - upierał się, a kiedy chciała uciec, zacisnął palce na jej włosach i unieruchomił ją.

- Nie wolno ci! Nie masz prawa!

- Mam prawo, kochanie! Bóg świadkiem, że dosyć zapłaciłem za ten przywilej - przypomniał jej chłodno. Ale jego usta wcale nie były chłodne, przylgnęły do jej warg i zmusiły je do rozchylenia. Początkowo próbowała walczyć, ale pocałunek stał się jeszcze gwałtowniejszy, jego język śmielszy. Nie było dla niej ucieczki, więc poddała się biernie napaści jego warg. Lepiej zrezygnować z walki - wmawiała sobie. - Nie przedłużać jej.

Po chwili stwierdziła, że nic to nie dało. Było jeszcze gorzej, niebezpieczniej. Jego usta stały się łagodniejsze, zaczęły pieścić ją, podstępnie nakłaniać do odpowiedzi.

Zdażyła już zapomnieć, czym mogą być jego usta. Nie łudziła się już, że słodycz jego pieścizot oznacza miłość. Wszystko to było kłamstwem, wiedziała o tym teraz, ale wiedza ta nie mogła powstrzymać jej ciała. Ogarniało ją pożądanie. Instynktownie skłoniła się ku niemu, a on natychmiast wyczuł jej słabość.

Uwolnił jej włosy, aby otoczyć ją ramionami i przyciągnąć bliżej. Jej dłonie dotknęły jego pleców, powędrowały ku barkom.

- O tak! - szeptał przy jej ustach, delikatnie chwytając jej wargi, zachęcając jej giętkie ciało do wtulenia się w niego. - O tak! Już najwyższy czas, kochanie - mówił i uśmiechał się tryumfalnie.

- Nie! - sprzeciwiła się bez przekonania. Znow nie mogła zapanować nad sobą, znow łaknęła jego pieścizot i pocałunków. Jej palce już wplątały się w jego włosy, już przyciągały głowę. - I nienawidzę cię za to!

- Ale lubisz to uczucie - zaoponował. Kusił ją krótkimi, zachęcającymi pocałunkami, aż westchnęła z niecierpliwością. - Jeszcze jeden - obiecał... Długi pocałunek wywołał w niej całą burzę uczuć, zatraciła się w nim bez reszty.

- Mów, co chcesz - powiedział jej później - ale coś z tamtego lata jeszcze w nas pozostało.



- To nic nie znaczy - odparła i odwróciła się.
- Tak sadzisz? Nie zgadzam się, ale możemy rozstrzygnąć to później. - Teraz... - przerwał, aby zbadać jej twarz - wyglądasz na dobrze wycelowaną. Cynthia będzie miała właściwe wyobrażenie o tym, co nas tu zatrzymało.
- Dość długo to trwało - mruknęła Cynthia, gdy John i Serena zeszli do salonu. - Myślałam, że zapomnieliście o mnie.
- Prawie! Ponieważ jednak Serena dziś nic nie jadła, musieliśmy zejść na kolację.
- Zobaczę, co pani Hutchins nam zostawiła - zaproponowała Serena mając nadzieję uwolnić się, choć na chwilę, od Johna.
- Nie, nie! Ja to zrobię - postanowił. - Zasłużyłaś na wypoczynek. Miałaś znacznie gorszy dzień niż ja.
- Ale rodzinna atmosfera! - skwitowała to ze śmiechem Cynthia. - Można by pomyśleć, że oswoiłaś tygrysa.
- Proszę? - zapytała bezmyślnie Serena. Po tym, co zaszło na górze, nie mogła skupić myśli. - Chodzi ci o Johna?
- A o kogóż by innego, kochanie? - podniosła się z fotela przy kominku i z wdziękiem przeszła do barku, aby dolać sobie whisky. - Chcesz trochę? - zapytała unosząc karafkę.

Serena zgodziła się bez entuzjazmu. Powinna mieć jasny umysł, gdy John zażąda, aby weszła na drugie piętro do jego sypialni i...

Dość! Nie wolno jej teraz o tym myśleć.

- Wygląda to wręcz cudownie! - rozważała Cynthia pociągając ze szklanki - układa wam się znacznie lepiej, niż mogłabyś

kiedykolwiek przypuszczać. Jesteś szczęśliwa... - zabrzmiało to jak oskarżenie - a ja zerwałam z Gregorym.

- Nieodwołalnie? - Serena nigdy nie traktowała ich zbyt poważnie. Ich romans, a potem małżeństwo było marną kombinacją zaślepienia i rozsądku. Z trudem przychodziło jej poważne traktowanie groźby rozpadu tego małżeństwa. — Opuściłaś Houston, ale to nie znaczy, że się rozwodzicie.

- Ja chcę rozwodu! - krzyknęła Cynthia. - Mówisz tak samo jak John, mama czy tatuś. Myślałam, że po tym, co tobie zrobili, przestałaś wierzyć w miłość i małżeństwo.

- Wszystko się zmienia - rzekła Serena zgodnie z tym, czego oczekiwał od niej John. - To, że zaczęło się źle, nie znaczy, że nie możemy... - urwała. Istniały w końcu granice uległości.

- ...dojść do wniosku, że małżeństwo nam bardzo dobrze służy - dokończył za nią John. - Nie mam racji, kochanie? - zapytał

miętko, podczas gdy jego wzrok ostrzegał, aby się nie ważyła sprzeciwić.

- Masz. - Zastanawiała się, jak długo mógł stać w drzwiach.

Przy kolacji rozmowa toczyła się tylko między Cynthią a Johnem.

- Rozwodzę się. Nieodwołalnie! - Cynthia oznajmiła

buntowniczo. -I nie rozumiem, dlaczego to was tak obchodzi.

- Ponieważ ktoś powinien cię przestrzec przed popełnieniem błędu, którego później będziesz żałować. Dopóki jesteś z nami i sprawiasz wrażenie, że przyjechałaś tu tylko w odwiedziny, Gregory i jego rodzice mogą udawać, że wszystko jest w porządku. Oni nie zrobią pierwszego ruchu, ale nie wybaczą ci, jeśli zwrócisz się do adwokata albo zaczniesz wszystkim o tym mówić. Wyciągnij te sprawy na światło dzienne, a małżeństwo się rozleci.

Dla Sereny problem Cynthii nie istniał. Zwłaszcza teraz, gdy jej własne życie ułożyło się tak fatalnie. Czuła się zdruzgotana. Po raz pierwszy od miesiąca - od ślubu - miała stawić czoło problemom wynikającym z fikcyjnego małżeństwa z Johnem. Co za ironia losu, że Cynthia mimo woli miała być znowu katalizatorem. Spełniła już raz tę funkcję, gdy uświadomiła Serenie, że

wychodząc za Johna, zamiast wymarzonego małżeństwa z miłości, otrzymywała kontrakt handlowy. Zaczarowana kryształowa kula okazała się bańką mydlaną. Dzięki Cynthii...

## ROZDZIAŁ DRUGI

Cynthia zastukała do drzwi sypialni, weszła i rzuciła się na łóżko.

- Mamusia kazała mi zobaczyć, co z tobą - wyjaśniła i przyjrzała się Serenie, która siedziała przy toalecie w kremowej, koronkowej bieliźnie i robiła makijaż. - To już niedługo.

- Za niecałą godzinę - westchnęła Serena.

- Ale ty jesteś spokojna! O tej porze byłam już kompletnie roztrzęsiona - wspomniała Cynthia zazdrośnie. - Ty jednak jesteś w innej sytuacji. To musi być fajnie...

- Co musi być fajnie?

- Nie mieć złudzeń. Nie musisz się bać, że go rozczarujesz.

Wszystko, co on chce, to ślub, nieprawdaż? Więc w chwili, gdy nałoży ci obrączkę na palec - cześć! Ma już wszystko. Nie musisz się wysilać, żeby go uszczęśliwić. Przez ten ślub stajesz się wolna.

Żadnych kłopotów... - westchnęła Cynthia. Jej twarz nagle

posmutniała. - Czasem chciałabym, żeby tak było z Gregorym: czysty kontrakt handlowy.

- ...czysty kontrakt handlowy. Kontrakt handlowy?! Serena słuchała jednym uchem, ale ostatnie słowa dotarły do niej wyraźnie i brzmiały teraz w jej uszach jak echo.

- Kontrakt handlowy? O czym ty mówisz?

- O czym mówię? - zachichotała Cynthia. - Renie, wiesz o czym mówię! To takie proste! John potrzebuje akceptacji naszej sfery, a tatuś pieniędzy, więc pozwala ci wyjść za Johna w zamian za forszę. Jest w tym jakiś sens.

- O czym ty mówisz? - Serena siedząca dotychczas plecami do Cynthii spojrzała jej w twarz.

- O kontrakcie - odpowiedziała chłodno siostra. -No wiesz...!

- Nie ma żadnego kontraktu - rzekła ostro Serena. Dlaczego Cynthia chce zniszczyć jej szczęście takim kłamstwem?!

- Wiem to od ojca - odparła Cynthia. - Żartowałam z jego początkowej niechęci do Johna. Powiedziałam mu, że nie rozumiem, jak może tak spokojnie zgadzać się na twój ślub z kimś bez pochodzenia, bez wychowania... Posunęłam się chyba

za daleko, bo w końcu się wściekł. Powiedział, że nie ma wyboru, nie ma pieniędzy, a John zaoferował tyle, że nie mógł odmówić.

- Kłamiesz!

- Nie kłamię! Renie! Czy ty naprawdę myślisz, że on się w tobie zakochał? Taki facet...? Tak atrakcyjny...? Mężczyzna taki jak John nie zakochuje się w dziewczynie takiej jak ty i nie żeni się z miłości. John jest oportunistą, cały czas szuka wielkiej szansy, żeby się wybić, a ty jesteś największą szansą, jaka mu się w ogóle mogła trafić. Tata wie o tym, my wszyscy wiemy. Tylko ty tego nie dostrzegasz. Dorośnij, Renie! John cię nie kocha!

Nie dbając o to, że do ślubu została niecała godzina, pobiegła do ojca. Nie musiała go nawet pytać.

- Cynthia mi właśnie naplotła... - zaczęła. Wystarczyło... Twarz ojca powiedziała jej wszystko. - Więc to prawda - wyszeptała. Jej marzenia o szczęściu rozwiały się w jednej chwili. - Tato, ja nie mogę wyjść za niego!

- Ależ możesz - sprzeciwił się gwałtownie, zbyt gwałtownie. - To przecież niczego nie zmienia.

- To zmienia wszystko. On mnie nie kocha!

- Ale ty go kochasz - odparł Ted Wright. - Chcesz go poślubić. To oczywiste.

- Już nie! - Jej głos był chłodny, martwy, obcy, nawet dla niej. - Nie teraz, gdy wiem... Jak do tego doszło? Czy on tak bardzo chce się wżenić w tę rodzinę, że zapłacił ci za zgodę?

- Nawet jeśli tak... Co w tym złego?

- Wszystko. Nie widzisz tego?

- Widzę tylko dziewczynę, która w końcu osiąga swój cel i nagle się cofa. Szalałaś za nim, byłaś zdecydowana poślubić go nawet bez mojej zgody. Więc wyjdź za niego. Nie ma znaczenia, jak się czujesz.

-Ma!

- Nie powinno - wtrąciła się do sprzeczki Lillian. - Nie bądź głupia, Sereno! Jak przypomniał ci ojciec, byłaś absolutnie zdecydowana wyjść za Johna. A widzisz... Aranżowane małżeństwa nie są zbyt udane.

- Nie będzie ślubu! Nie na takich warunkach.

- Obawiam się, że nie rozumiesz, Sereno! - rzekła Lillian z zawziętością. - W żadnym przypadku nie możesz odmówić! John i ojciec ustalili już wszystko, pieniądze zostaną przekazane

natychmiast po weselu, a ojciec bardzo ich potrzebuje. Co gorsza, jeśli nie poślubisz Johna, on roztrąbi na cały świat...

- Co roztrąbi? - zapytała Serena patrząc to na ojca, to na macochę.

- Czego ja jeszcze nie wiem?

- No, Ted! Powiedz jej - rozkazała Lillian. - To jedyny sposób, żeby zmusić ją do współpracy.

- Tak, wiem - zgodził się niechętnie. - Popatrz, skarbie. Oferta Johna... On mi zaproponował pieniądze w ostatniej chwili. Interes niezbyt idzie... Parę złych inwestycji... Bez gotówki Johna będę skończony.

- A ponadto, jakby tego nie było dosyć - podjęła wątek Lillian - John wie teraz o wszystkim. Dlatego musisz wyjść za niego dzisiaj. To jedyny sposób, żeby go uciszyć.

- Sereno! Nie rób mi tego! - załkał boleśnie ojciec. Jego twarz nie była już taka radosna, przez opaleniznę przebijała szarość. - John mógłby mnie zrujnować.

- A jeżeli...

- Nie ma żadnego, jeżeli - powiedziała stanowczo Lillian.

W końcu wygrali. Złamali jej opór: Lillian swoją stanowczością, ojciec odwoływaniem się do wdzięczności, którą była mu winna.



Ale i to by nie pomogło, gdyby ojciec nie przerwał tego koszmaru.

- Moja droga! - rzekł. - Nikt nie twierdzi, że John cię nie kocha, przecież to, co zaszło między wami, ciągle istnieje.

- No pewnie! - zgodziła się Serena, podniecona i odmieniona tą myślą. Nagle wszystko stało się jasne. John ją kocha, nie kupuje nazwiska ani pozycji społecznej jej rodziny. Daje pieniądze, bo chce oszczędzić jej bólu zerwania z rodziną. Nie była to transakcja godna potępienia. Tylko ojciec... Nie chciała wnikać w jego motywy zbyt głęboko, ale jedno było oczywiste: to on nie miał czystych rąk, to on ją sprzedał.

Ślub odbył się dokładnie tak, jak sobie wymarzyła: skromna ceremonia w ślicznym, starym kościele, wzruszające słowa przysięgi, którą sobie złożyli... Wesele było już czymś innym - czymś, co trzeba przetrwać. Bardziej wyrażało upodobania Lillian niż jej własne. Rozumiała teraz, dlaczego macocha tak bardzo się starała, aby przygotować nieskazitelną towarzysko inaugurację małżeństwa pasierbicy z człowiekiem, który nigdy nie zostałby zaproszony na żadne z jej przyjęć. Wszystko to było częścią transakcji opłaconej pieniędzmi Johna, myślała Serena i pragnęła,

aby oboje mogli jak najszybciej znaleźć się w domu. Chciała być sama z mężem. Postępek ojca ciążył jej na sumieniu, z każdą godziną stawał się trudniejszy do zniesienia.

Zaczynała zdawać sobie sprawę, że za tą dziwną transakcją coś się kryło. Nawet gdy grała rolę szczęśliwej panny młodej, jej umysł gorączkowo pracował. Zgoda ojca miała cenę, którą John zapłacił dla niej, dla Sereny, ale to wcale nie musiało mu się podobać. Gdyby ojciec nie był tak źle nastawiony do Johna, problem pieniędzy w ogóle by się nie pojawił. John został jednak zmuszony do zapłacenia okupu. Prześladowała ją myśl, że mógł zrobić to ze wstrętem. Tym bardziej powinna jak najszybciej oczyścić atmosferę. Gdy tylko znajdą się we dwoje!

Nie planowali podróży poślubnej. Doktorat, nad którym pracowała w Studium Amerykańskim, obciążał ją licznymi wykładami, badaniami i obowiązkami asystentki profesora. Mogła pozwolić sobie na trzy dni wolnego. W rezultacie postanowili z Johnem spędzić ten czas w domku przy Birch Court. Tak wspaniale się zapowiadało...

- Będzie cudownie - przekonywała siebie, gdy wreszcie znaleźli się w domu. Jeszcze tylko musi załatwić tę nieprzyjemną sprawę!

-John! Jest coś, co chcę ci powiedzieć... O ojcu, o tym, co zrobił...

No więc, chciałabym ci podziękować.

- Czyżby? - Stał przy drzwiach wyjściowych, oparł się o nie, wcisnął ręce głęboko w kieszenie spodni. Milczał, wyraźnie dawał do zrozumienia, że nie będzie ułatwiać jej zadania. To ona musiała zrobić następny krok. Był on trudniejszy, niż się spodziewała. Wzięła głęboki oddech.

- Zrobiłeś to, żeby nie ranić moich uczuć. Niepotrzebnie!

-Nie?

- Oczywiście, że nie. Wolałabym, żebyś tego nie robił. Wybacz! - starała się, aby brzmiało to niezobowiązująco. On nadal jednak milczał, dorzuciła więc: -Tata nie powinien... Im więcej zastanawiam się, tym bardziej przypomina to licytację. On mógł to wszystko zaplanować.

- Tak myślisz? - zapytał nadal obojętny. - Czy ty chcesz mi powiedzieć, że nie masz pewności?

- Nie miałam pojęcia. On... - to nic nie dawało! Ogarnęło ją uczucie bezradności. Wiedziała, że za spokojem Johna krył się gniew. Cały ten interes załatwiał z nim ojciec. Dlaczego więc czuła, że John ją obwinia? - On chyba nie chciał wprowadzać

mnie w szczególności - wykrztusiła i natychmiast zrozumiała, że nie to chciała powiedzieć. - Naprawdę nie wiedziałam... Nie dowiedziałabym się nigdy, gdyby nie Cynthia. Myślałeś, że udawałam? - spytała z niedowierzaniem.

- I ciągle tak myślę. Choć nie rozumiem, dlaczego cię to teraz obchodzi. Osiągnęłaś swoje, ojciec dostał, ile chciał, więc po co ta gra?

- Jaka gra? - zapytała. Musi zachować równowagę! - Nigdy nie udawałam.

- Jasne, że udawałaś - zaproponował łagodnie. - Nabrałaś mnie, kochanie. Ta twoja rozpacz, kiedy tata odgrywał rolę znieważonego ojca! Ta rozdzierająca serce scena, gdy błagałaś, abym dał mu więcej czasu na pogodzenie się...

-To była prawda, po prostu chciałam uniknąć jeszcze jednej kłótni, John! - wyciągnęła ręce w niemym geście błagania. - Nie udawałam!

- To wszystko było grą - zawyrokował, a w jego oczach pojawił się nowy, niebezpieczny blask. - Bardzo dobrze zagrałaś swoją rolę do końca.

- Jeżeli wiedziałeś, jakim jestem potworem, dlaczego wzięłeś ze mną ślub?!

- Dlaczego? - Poruszyło go to w końcu. Wyjął ręce z kieszeni, zrobił krok ku niej. -I ojciec, i ja zyskaliśmy na tym interesie. On dostał pieniądze, których potrzebował, a ja to, czego zazwyczaj nie można kupić - błogosławieństwo na wejście do rodziny. Jestem teraz członkiem towarzystwa. Należę do niego! Żaden bostończyk już nie zamknie mi drzwi przed nosem.

- To takie ważne? - wściekła się. - To tyle dla ciebie znaczy?

- A jak myślisz?! - Zrobił jeszcze jeden krok w jej stronę, zmuszając ją do cofnięcia się. - Z jakich innych powodów miałbym ożenić się z tobą?!

- Co? Przepraszam! - powiedziała machinalnie, stwierdziwszy, że ktoś do niej mówi, o coś pyta. John i Cynthia skończyli jeść i patrzyli teraz na nią. - Zamyśliłam się. Byłam daleko...

- Pytałem, czy konferencja się udała.

- Chyba tak - odpowiedziała. Miało to zabrzmieć normalnie, na przekór rozterce. - Jak zawsze.

- A twój referat? - John nie dał się zbyć. Zwrócił się do Cynthii. - Serena wygłosiła referat o wynikach swoich ubiegłorocznych

badań nad kamieniami nagrobowymi. One nas tak zbliżyły -  
dodał czule i zwrócił się ku Serenie, udając uśmiech  
przeznaczony tylko dla niej. - Dobrze go przyjęto?

-Ja... - Skąd on to wiedział? Wpatrywała się w talerz. Nie  
rozmawiała z nim o konferencji ani o referacie. W ciągu  
ostatniego miesiąca nie rozmawiali o niczym, co miałyby jakieś  
znaczenie. Skąd więc wiedział? Chyba że... Trzymała papiery w  
pokoju naprzeciwko swojej sypialni. Mógł do nich zaglądać,  
kiedy tylko miał ochotę. Poczuli się zagrożona. Naruszył jej  
prywatność. Podniosła głowę, napotkała jego wzrok, znalazła w  
nim potwierdzenie swych podejrzeń i żądanie. Oczekiwał od niej  
dalszej gry, zmuszał ją do zebrania resztek sił.

- Tak, chyba nieźle. Usłyszałam parę miłych słów...

- Ale jesteś zbyt zmęczona, aby o tym teraz myśleć. Lecisz z nóg.  
Idź do łóżka - zdecydował. - Cynthia pomoże mi sprzątnąć ze  
stołu. To nie potrwa długo.

- Nie za długo! Zatrzymam twego męża na chwilę. To dla mnie  
nowość - wyjaśniła z miłym uśmiechem. - Okazuje się, że nie jest  
on tym okropnym człowiekiem, za jakiego uważała go mama.  
Nie masz nic przeciwko temu, prawda?

- Nie, oczywiście! - Nie miała. W gruncie rzeczy mało by ją obeszło, gdyby tych dwoje zostało ze sobą całą noc. Jej sprzeciw zrodził tylko sposób, w jaki została odprawiona, posłana do łóżka. Zatrzymała się w połowie schodów.

- Kawy? - usłyszała głos Johna, a potem śmiech Cynthii.

- Tak, ale w salonie, przy kominku. Będzie przytulniej.

Bardzo przytulnie! - pomyślała zjadliwie Serena i poszła na górę.

Gotowa była się założyć, że John jest teraz uśmiechnięty, że jego oczy jaśnieją oczekiwaniem. Znała to aż za dobrze. Cynthia i John byli sobie warci. Była wściekła. Na pierwszym piętrze zapomniała jednak o nich pochłonięta kolejnym problemem. Gdzie będzie spać?

Wiedziała, czego chciał John, lecz po tym zejściu sprzed kolacji chyba nie mógł oczekiwać, że dobrowolnie wróci do jego sypialni. Jasne, że mógł - przyznała ponuro. Jaki miała wybór?!

Pani Hutchins przeniosła już jej rzeczy na górę... Czy wszystkie? - zastanowiła się i weszła do pokoju gościnnego.

Natychmiast zauważyła, jak bardzo zmienił się ten pokój. Na biurku i toaletce nie było już jej rzeczy, z nocnego stoliczka

zniknęła sterta książek. Wiedziała, że gdyby otworzyła szafę lub którąś z szuflad, nie znalazłaby niczego, co jest jej własnością.

Bez wątpienia królowała tu Cynthia. Pudełka i torby z modnych butików z Newbury Street walały się po pokoju. Cynthia uwielbiała zakupy, zwłaszcza wtedy, gdy ktoś inny sięgał do portfela, jak dzisiaj John. Płacenie rachunków jej rodziny weszło mu w krew. Ta myśl przywołała ją do porządku.

Zapłacił dość, aby teraz żądać od niej posłuszeństwa. Poza tym wszystkie jej rzeczy znajdowały się już piętro wyżej, w sypialni Johna. Lepiej, żeby tam poszła. Nie miała żadnego wyboru. Gdy zamykała drzwi pokoju, który był jej schronieniem przez kilka ostatnich tygodni, ogarnął ją lęk. Wizyta Cynthii zdała Serenę całkowicie na łaskę męża. Dojrzał tę okazję w jednej chwili. Był znakomity w dostrzeganiu szans i wykorzystywaniu ich. Bez tej umiejętności nie zaszedłby tak daleko.

Znajdowała się dokładnie tam, gdzie chciał. Przekraczała próg jego pokoju. Bała się. Szkoda, że nie miała klucza. Gdyby tylko mogła się zamknąć! Niech by się martwił, gdzie spędzić noc. Z Cynthią? Proszę bardzo! Ale niestety - Serena musiała spojrzeć prawdzie w oczy - spędzi tę noc tutaj, z nią.



Kiedyś, zanim poznała prawdę, zanim jej marzenia się rozwiały, uważała ten pokój za najpiękniejszy na świecie. Naprawdę liczyła dni do...

Nie! Żadnych wspomnień - nakazała sobie. Włączyła przyćmione światło i wtuliła się w fotel na biegunach. Nie mogła oderwać wzroku od łóżka z baldachimem. Zagryzła wargi, gdy przypomniała sobie, jak kiedyś reagowała, gdy John ją całował. Gdyby dziś dzieliła z nim łóżko, gdyby jej dotknął...

- Nie! - powiedziała na głos. To nie może się powtórzyć. Nie może pozwolić mu, by zniszczył resztki jej dumy. Lecz jak? Zamknęła oczy. Nie łączy ich miłość. Istnieje jednak... Biochemia? Być może. Istnieją więc reakcje biochemiczne, na które jest wrażliwa.

A John? Czy ta biochemia działa też na niego? Nie była pewna. Trudno uwierzyć, że mógłby jej pragnąć. Nie jest w jego typie. Jest zbyt normalna, a on jest przyzwyczajony do niezwykle ekscytujących kobiet. Nie może jej chcieć. Dla niego jest to sprawa ambicji. Czy chce ją upokorzyć? Czy kompleks niższości klasowej tkwi w nim tak głęboko, że ma jej za złe, iż pochodzi ze sfery,

która jest dla niego niedostępna? Czy przemoc wobec niej daje mu poczucie wyższości we wzajemnych stosunkach?

Brzmiało to śmiesznie - zreflektowała się. Zbyt melodramatycznie. Choć skąd miałyby wiedzieć, ile znaczy dla niego wejście do towarzystwa? Należała do wybrańców od urodzenia. Ale - jak mawiała Lillian, której własny status był kiedyś niepewny - jedynymi ludźmi, którzy o niego nie dbają, są dobrze urodzeni. Trudno uwierzyć, by sam status tyle znaczył dla kogoś tak zdolnego, pewnego siebie, z takimi sukcesami jak John. Ale ilu upokorzeń doznał podczas wspinaczki po zawodowej drabinie sukcesu? Musiało być ich wiele. W przeszłości, kiedy zaczęli się spotykać, czyż nie próbowała trzymać go z dala od macochy i ojca?

Aby go oszczędzić. Wiedziała przecież, że nie zgodzą się na niego. Robiliby zjadliwe uwagi tylko dlatego, że John nie pochodzi z „dobrej rodziny”. Z czystego snobizmu. Któż nie zna jego siły?! Popchnął Johna aż do małżeństwa z nią, nieprawdaż? Na parterze zrobił się ruch. Usłyszała głęboki, niewyraźny bas Johna, jasny śmiech Cynthii, skrzypienie schodów...

- Jeszcze na nogach? - zapytał, gdy wszedł do pokoju. - Myślałem, że śpisz już mocno.

- Nie. - Może byłoby lepiej, gdyby udawała, że śpi? Za późno. -  
Ja...

- ..czekałam? - Wtrącił łagodnie. Zamknął drzwi, oparł się o nie i spojrzał na żonę. - Jakże chciałbym znać prawdę!

- Wiesz dobrze, że nie czekałam na ciebie - wybuchła. -  
Zastanawiałam się, gdzie będę spać.

- Będiesz spać tu, gdzie jest twoje miejsce - powiedział miękko, ale stanowczo.

- Nie z tobą!

- Już to mówiłaś - rzekł z porozumiewawczym uśmiechem. -  
Gdzież więc problem?

- Ja nie będę... - spróbowała przełknąć ślinę. - Nie możesz... Nie pozwolę ci...

- Na co? Żebym cię wziął? Nie martw się kochanie! Poczekam, aż zrobisz pierwszy krok.

- Niedoczekanie twoje! - Złość dodała jej odwagi. - Będziesz czekał do końca świata.

- Tak sądzisz? - Ruszył od drzwi i zbliżył się do niej z uśmiechem.
- Nie będę czekać, zwłaszcza po tym krótkim spotkaniu, które mieliśmy wcześniej. Zdradziłaś się, Sereno!
- To się nie powtórzy! Kupiłeś moje imię, tradycję rodzinną, moje miejsce w twoim domu...
- ...i w moim łóżku.
- ...i tyle społecznego uznania, ile ojciec i Lillian są w stanie zapewnić - ciągnęła nie zważając na jego słowa. - Ale nie kupiłeś mnie. Nie możesz mnie mieć.
- A jednak latem oferowałaś mi siebie - powiedział rozmarzonym głosem.
- To było kiedyś - zaprotestowała. Poczula, jak pali ją twarz. - Zanim się dowiedziałam...
- ...że połknąłem haczyk? Że ty i twój świątobliwy ojciec dostaliście swoje?
- Zanim się dowiedziałam, że chcesz mnie tylko kupić - sprostowała. Rosła w niej złość.
- Już to mówiłaś... To nic nie znaczy. - Pochylił się nad nią i lekko dotknął jej płonących policzków.

- Za bardzo siebie pragniemy, Sereno Winslow Wright Bourque. Choćbyś nie wiem jak protestowała, to nastąpi. Ale nie dziś. Chcę, żebyś była wypoczęta i radosna, kiedy po raz pierwszy będziemy się kochać.

- Ha! Czyżbyś chciał tylko...?

- Tak! - potwierdził i z grymasem bólu na twarzy odwrócił się ku oknom. - Idź pierwsza do łazienki - rzucił po chwili. - Będziesz spać tutaj. Ja położę się na tapczanie w garderobie. Chyba że zmienisz zdanie.

Nigdy! - przysięgła w duchu. Wzięła nocną koszulę i przeszła przez garderobę do łazienki.

Gdy wróciła, on ciągle stał przy oknie i obserwował deszcz siekający po szybach. Z lękiem okrążyła go i wśliznęła się do łóżka.

- Mógłbyś już wyjść? - spytała.

- Oczywiście! - skinął głową i odszedł od okna, by zgasić lampę. - Dobranoc, Sereno - powiedział w ciemność.

Serena wreszcie odetchnęła. Ciągle jednak nasłuchiwała, jak John krząta się w garderobie i w łazience.

Jednostajny szum wody powinien ukołysać ją do snu, jednak świadomość bliskości męża nie pozwalała jej zasnąć. Łóżko też ją

denerwowało. Było zbyt wielkie i luksusowe, za bardzo różniło się od maleństwa, na którym ona sypiała... a dziś będzie spała Cynthia.

Do diabła z Cynthią! - zakląła Serena patrząc w ciemność. Gdyby nie Cynthia, nie znalazłaby się w tym łóżku, nie doszłoby do spięcia z Johnem. To wszystko wina Cynthii!

Niezbyt odkrywcze spostrzeżenie, skwitowała. Dziecinada!

Nieoczekiwany przyjazd Cynthii nie ma większego znaczenia.

Może tylko przyspiesza to, co i tak nieuniknione. Nie może winić za to siostry.

Nie kłóciły się nigdy, nawet jako dzieci, co bardzo cieszyło ojca.

Kiedy ożenił się z Lillian i sprowadził ją wraz z Cynthią, był zdecydowany stworzyć szczęśliwą rodzinę. Udało mu się to wbrew wszelkim przeciwnościom. Lillian zorientowała się, że dziecko jej męża z pierwszego małżeństwa wymaga minimalnej kontroli rodzicielskiej. Nie było żadnych awantur czy nieporozumień, tak częstych w innych rodzinach.

Już w dzieciństwie Serena doszła do wniosku, że arena towarzyska - tak ważna dla Lillian i Cynthii - nie jest dla niej.

Wycofała się z tego pola walki w świat książek. Uważała, że

szkoda czasu na towarzyskie subtelności. Był to swego rodzaju snobizm. Mimo przekonania o swojej wyższości, zawsze była taktowna i nie dawała po sobie poznać, że odrzuca wszelkie konwenanse.

Serena długo leżała w ciemności i wspominała...

### ROZDZIAŁ TRZECI

- Czy spotykasz się dziś z tym okropnym człowiekiem? - Lillian była wyraźnie zirytowana. - Nie powinnaś. Chodzi mu tylko o zaproszenie na nasze przyjęcie.

Nie nasze - poprawiła ją w duchu pasierbica. To wasze przyjęcie, twoje i Cynthii. Po ślubie Cynthia zamieszkała w Houston, ale na lato wróciła do domu, by wraz z Lillian przygotować przyjęcie, wydawane co roku, z okazji czwartego lipca, w letniej rezydencji rodzinnej na południe od Bostonu.

- Zaczekaj! Niech minie czwarty lipca - zasugerowała Lillian, przerywając milczenie pasierbicy. - Nie chcę, żeby ten człowiek krępował naszych gości próbami zaprzyjaźnienia się.

- Kto taki? - zapytała Cynthia.

-Ten okropny człowiek - powtórzyła Lillian. - John Bourque.

Przedsiębiorca budowlany, który za wszelką cenę chce się dostać na znaczące przyjęcia. No wiesz! Nie, nie wiesz - poprawiła się i obdarzyła Cynthię ciepłym uśmiechem. - Kiedy on zaczynał się tu kręcić, ty tak szalałaś za Gregorym, że na nikogo nie zwracałaś uwagi. Pragnie się wkraść w nasze łaski.

- Chyba za wysoko nas cenisz - rzekła cierpko Serena i natychmiast została skarcona lodowatym spojrzeniem Lillian.

- Czyżby? Jesteśmy tym rodzajem ludzi, których akceptacji poszukuje. Pozbądź się go, moja droga!

- Nie mogę - sprzeciwiła się Serena. - Jesteśmy umówieni.

- To nie ma znaczenia - oznajmiła macocha. - Możesz zatelefonować i odwołać wizytę z jakiegoś powodu. Cóż za zbieg okoliczności, że zgadza się pokazać ci swój ponury cmentarz na dwa tygodnie przed świętem. On po prostu poluje na zaproszenie, ale go nie dostanie!

- W porządku, nie zaproszę go. Zmęczona kłótnią Serena wzięła klucze, odwróciła się na pięcie i wyszła z domu.

Nie wiedziała prawie nic o Johnie Bourque z wyjątkiem tego, że stał się kimś znaczącym w Bostonie, że wybudował tu wiele



wieżowców i rezydencji. Ponieważ nigdy nie uczestniczyła w imprezach dobroczynnych, nie spotkała go dotychczas. Może i zabiegał o awans towarzyski, ale był dla niej nikim. Serena uśmiechnęła się smutno. Wbrew ponurym przeczuciom Lillian John Bourque będzie musiał uprawiać swą wspinaczkę bez jej pomocy. Chciała od niego tylko zgody na spędzenie kilku godzin na opuszczonym cmentarzu, który zajmował mały skrawek jego rozległej posiadłości. Chciała spisać słowa ze starych nagrobków, zorientować się, kto je rzeźbił. Może zrobiłaby parę zdjęć. Przez chwilę sądziła, że zapomniał o spotkaniu. Zapukała powtórnie do drzwi frontowych, a potem udała się na poszukiwanie innego wejścia. Kiedy przedostała się na tył domu, okazało się, że jego trzy skrzydła tworzyły osłonięty, zalany słońcem dziedziniec z basenem kąpielowym, wiklinowymi krzesłami i parą leżaków. Na jednym z nich leżał mężczyzna. I to jaki mężczyzna! Serce zabiło jej mocno. Miał na sobie krótkie dżinsy. Był odwrócony do niej plecami. Mogła więc spokojnie podziwiać jego wspaniałe, brązowe i muskularne ciało.

Odwrócił się, jakby czując jej obecność. Ich spojrzenia spotkały się. Była to krótka, lecz dla Sereny brzemienna w skutki chwila. Wystarczyła, aby coś w niej rozbudzić, coś, czego dotychczas nie doświadczyła, coś co drzemało w niej, czekając na Johna Bourque...

Fascynacja seksualna - rzekła do siebie i usiadła w pościeli. To, czego doświadczyła podczas pierwszego spotkania z Johnem, było fascynacją seksualną, niczym więcej.

Niczym więcej? Stłumiła nerwowy śmiech. Niczym więcej - a jednak czymś tak wielkim! Tak ogromnym dla niedoświadczonej dziewczyny, jaką wówczas była! Jaką jest nadal - przyznała.

Tylko, że teraz rozumie siłę pociągu seksualnego.

Gdy ujrzała go przy basenie, jej bezpieczny i uporządkowany światek legł w gruzach. Zanim on odczuł jej obecność, już była zgubiona, opanowana przez zupełnie dla niej nowe uczucia.

Chciała go dotknąć - przypomniała sobie teraz - poczuć siłę jego mięśni, ciepło jego ciała...

Z zaschniętym gardłem i dłońmi zaciśniętymi na torbie patrzyła, jak John Bourque przekłada nogę ponad leżakiem, wkłada bosą

stopę w sportowy but, prostuje się, by sięgnąć po niebieską koszulę. Założył ją błyskawicznie i zmierzwił dłonią włosy. Gdy zwrócił się ku niej, stwierdziła, że jest bardzo wysoki, szczupły i mocny, że każdy jego ruch pełen jest zmysłowego wdzięku. Jego oczy wyglądały jak ciemne jeziora, usta unosiły się lekko w jednym kąciku, jakby ciepło słońca sprawiało mu przyjemność. Gdy ruszył ku niej, narzuciło się jej porównanie z drapieżnym kotem, tyle było w nim zwinności, siły i władzy.

- Jestem John Bourque - oznajmił i wyciągnął rękę. Na krótko przytrzymał jej dłoń, a gdy ją uwolnił, doznała uczucia, jakby jej coś zabrano. - Usiądziemy? - wskazał na zacieniony ką, a potem czekał, aż ona spocznie, aby zająć miejsce naprzeciwko niej. Przyglądał się jej otwarciu, oceniając najpierw twarz, potem umiarkowane wypukłości jej ciała.

- Serena Window Wright... Wiek: dwadzieścia pięć lat, zawód: naukowiec. - Roześmiał się radośnie widząc jej zaskoczenie. Równe, białe zęby zajaśniały wyraźnie na tle opalenizny. - Kiedy dostałem pani list, sprawdziłem wszystko w przewodniku po mieście. Ludzie mówią, że jestem pedantem, więc rzadko się myślę.

Z pewnością - zgodziła się w duchu. Była zahipnotyzowana.

Gdyby Lillian dowiedziała się, co ten człowiek zrobił, grzmiałaby:

„Sprawdził o tobie wszystko, żeby się upewnić, że jesteś tą, o którą mu chodzi, że możesz mu się przydać”. Lecz Lillian była przewrażliwiona na tym punkcie, więc Serena pewnie by jej nie uwierzyła.

- Proszę mi powiedzieć, dlaczego pani chce zobaczyć mój cmentarz? - zapytał John Bourque. - Z listu wynika, że jest pani doktorantką w Studium Amerykańskim. Co to dokładnie znaczy?

- Prowadzę badania nad wczesną Nową Anglią: nad purytanami, którzy tu mieszkali, ich pracą, architekturą, wierzeniami religijnymi. Obecnie zajmuję się cmentarzami w tej okolicy - przerwała na chwilę. Ten wspaniały mężczyzna, naładowany niemal dotykalaną energią, sprawiał, że nie mogła skupić myśli.

- Analizuję nagrobki wykonane przez osiemnastowiecznych rzeźbiarzy i mam nadzieję się dowiedzieć kim byli purytanie, jacy artyści rzeźbili ich nagrobki i jak odzwierciedlali ich wierzenia.

- Strasznie skomplikowane!

- Niezupełnie. Nie, jeśli...

- Jeśli człowiek zna się na tym - dokończył za nią, gdy przerwała, usiłując jakoś wybrnąć. - Dlaczego nie powiedzieć tego wprost?

-Zabrzmiałoby to... - zawahała się znów, zbita z tropu jego szczerością.

- .. .prawdziwie - podpowiedział. - Po co ukrywać swą wiedzę i umiejętności?

On z pewnością nigdy tego nie robił. Nie umiałby. Jego zdolności, osiągnięcia są rzeczywiste: ogromne budynki rysujące profil Bostonu na tle nieba. Jest człowiekiem zdolnym do wielkich rzeczy i wygląda na stworzonego do tej roli. Nie jest - jak ona - denerwująco przeciętny. Tworzy wielkie i podniecające rzeczy, podczas gdy ona przesiaduje na opuszczonych, zapomnianych cmentarzach.

- Lecz nie przyszła tu pani, aby wysłuchiwać moich opinii o sobie.

Przyjechała pani zobaczyć mój cmentarz. - Podniósł się. -

Możemy iść?

Serena nie spodziewała się, że będzie jej towarzyszyć. Nawet teraz, po dwudziestce, czuła się zażenowana w obecności mężczyzn, których dobrze nie знаła. Normalnie wolałaby zostać sama. Lecz dziś było inaczej! - przekonywała się w uniesieniu.

Nie było niczego zwyczajnego w Johnie Bourque i w uczuciach, jakie w niej wzbudzał.

Nie do wiary, chyba mu się podobała! Jeszcze bardziej nie do wiary, chyba go pociągała! Był cudownym lekarstwem dla jej psychiki. Niespodziewanie

zamiast kolejnego pracowitego popołudnia, kolejnego ślęczenia na cmentarzu - działo się coś magicznego, coś zaczarowanego.

- Jest w bardzo złym stanie - rzekł przeprasząco, gdy doszli do resztek muru, który otaczał cmentarz. Przez gąszcz zarośli widać było tylko parę najwyższych nagrobków.

- Cudowne! - szepnęła Serena - Przepiękne!

- Tak pani sądzi? Większość ludzi nie zgodziłaby się z panią.

- Wiem - przyznała z zadowoleniem. Nie miałyby nic przeciwko temu, żeby on uważał ją za inną. - Nie jestem podobna do większości ludzi.

- Z całą pewnością! Jest pani wyjątkowa - zapewnił.

- Nieziemska, niewinna, świeża! - Podał jej dłoń, gdy przechodzili przez mur. To krótkie dotknięcie sprawiło jej przyjemność.

Pozwolił jej prowadzić, lecz gdy tylko przyklęła nad pierwszą tablicą, znalazł się przy niej, aby odgarnąć wysoką trawę.

- Skrzydlata czaszka, rzeźbiarz z North River - zauważyła.

Przesunęła ręką po szorstkim kamieniu.

- Ładny, dobrze zachowany, ale nic szczególnego...

Spodziewała się czegoś więcej - przyznała i poszła do następnego nagrobka. Oczekiwała czegoś ekscytującego, prawdziwego odkrycia. Wszystko zdawało się możliwe dzięki jego obecności, bo on... No tak, on był takim podniecającym mężczyzną, prawda? Fascynujący, pociągający, znacznie miłszy, niż wymagały tego okoliczności, niezwykle męski. Nagle uzmysłowiła sobie, że wpatruje się w jego dłonie: mocne, dobrze utrzymane, bez żadnej jednak miękkości, o długich, szczupłych palcach... Zaalarmowana niekontrolowanym biegiem myśli zmusiła się, by spojrzeć na kamień.

-Tak! - wyszeptała bez tchu. Oto było coś, co miała nadzieję znaleźć, co los jej przeznaczył na ten dzień, w którym już odkryła Johna Bourque. Była to solidna i pięknie wykonana rzeźba: charakterystyczna waza z ornamentem lilii i wieńca, z liliami zdobiacymi krawędzie... Nie miała wątpliwości.

-To J.N. - oznajmiła tryumfalnie, patrząc na Johna, śmiejąc się w głos z samej radości odkrycia.

- Nikt nie wie, że to tu jest. Ja to odkryłam! Nie wyobraża pan sobie, co czuję!

- Nie - zgodził się. Nie mógł oderwać wzroku od jej twarzy. -  
Wiem tylko, że coś dobrego.

- Więcej niż dobrego! On jest moim ulubionym rzeźbiarzem...  
Może jest tu coś więcej - dodała bez tchu i chciała wstać.

- Mam nadzieję - rzekł, podając jej dłoń. - Czy to znaczy, że mój cmentarz podoba się pani?

- Oczywiście! - zapewniła go i już była między kamieniami.  
Poruszyła się lekko, prawie tańcząc od jednego do drugiego.

Znalazła jeszcze dwa nagrobki rzeźbione przez J.N. Na jednym małym cmentarzu! - zachwycała się po tym pierwszym przeglądzie. Odwróciła się szukając torby i niemal zderzyła się z Johnem Bourque.

- Przepraszam! Zupełnie zapomniałam o panu!

- Nie szkodzi! -zapewnił ją i uśmiechnął się leniwie, a jej serce zamarło. - Oby tylko nie kazała mi pani odejść.

- Kazać panu odejść? To pański cmentarz, panie Bourque.

- Johnie! - zaproponował, ciągle się uśmiechając.

- Należy teraz do ciebie, na jak długo zechcesz.



- To może potrwać kilka godzin - ostrzegła. I miała rację. Ale on nie opuścił jej i chyba się nie nudził.

- Skończone! - oznajmiła, gdy uporowała się z pracą, a raczej z tym, co było wykonalne w jeden dzień. Uśmiechnęła się promiennie do wysokiego, milczącego mężczyzny. Zbyt promiennie, wiedziała o tym. Nie chciała kończyć, nie chciała, żeby minął urok tego popołudnia. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy była aż tak szczęśliwa. Nie codziennie znajdowała trzy nie znane kamienie J.N.... i Johna Bourque - dodał jakiś wewnętrzny głosik. Zgodziła się. To z powodu Johna chciała, aby popołudnie nie miało końca.

- Muszę już iść - odezwała się. Miała nadzieję, że nie poznał, ile kosztowały ją te słowa.

- Skoro tak chcesz - odwrócił się i zaczął torować drogę przez zarośla.

-Jeśli ci nie będę przeszkadzać, to chciałabym przyjść jeszcze raz

-powiedziała. Ostrożnie obchodziła dziką plątaninę krzewów. -

Au! - Coś boleśnie szarpnęło ją za włosy i unieruchomiło. - Coś mnie złapało!

- Złapała cię dzika róża. - Podszedł do niej. - Zaraz się tym zajmę.

Zbliżył się jeszcze bardziej. Poczowała jego bliskość. Unikając jego wzroku, patrzyła prosto przed siebie, oszołomiona widokiem napinających się pod koszulą mięśni, męskim zapachem i ciepłem jego ciała. Trwała tak w bezruchu, a kiedy delikatnie musnął palcami jej włosy, gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Przepraszam, nie chciałem ci sprawić bólu - rzekł.

- Jesteś rzeczywiście schwytana.

Zamknęła oczy na chwilę i ucieszyła się, że nie odgadł jej uczuć, potem zdołała wykrztusić:

- Wszystko w porządku.

- Nie mów tak, zanim nie skończę - poradził.

- Jeżeli w ogóle skończę. Te ciernie robią, co chcą. Mogę wyjąć parę spinek?

- Cokolwiek! - Cokolwiek, aby skończyć z tym szaleństwem...

Cokolwiek, by wyrwać się z tej mieszanki pobudzenia i znerwienia opanowujących jej ciało... Cokolwiek, zanim nie ulegnie pragnieniu położenie dłoni na jego ramionach...

Cokolwiek, zanim zrobi z siebie kompletną idiotkę!

Powoli wyjmował spinki, a jej włosy spływały mu na rękę. Po chwili poczuła jego palce na głowie. Ich nacisk wzmógł się, zmusił ją do oparcia czoła na jego piersi.

Chciała, by to trwało w nieskończoność. Chciała, aby objął ją i pocałował, chciała poddać się jego ciału. Szaleństwo! - mówiła sobie, ale to słowo nie miało znaczenia. Najważniejszą rzeczą na świecie była teraz bliskość tego mężczyzny...

- Jeszcze trochę - powiedział głębokim, ciepłym głosem. - Zaraz będziesz wolna.

Wiedziała, że nigdy już nie będzie wolna. Nadal delikatnie wyjmował ciernie z jej włosów. Na całe życie zapamięta tę chwilę: opuszczony cmentarz, gorąco, zapach róż, jego spokojny oddech, dotknięcie...

Nie zakochałam się - przekonywała samą siebie. Nikt nie zakochuje się w ciągu godziny! Owszem, gdyby ich znajomość trwała dłużej, mogłaby się zakochać w Johnie. Podczas tej przeciągającej się chwili odczuła coś nowego: urok bliskości, dotyku mężczyzny. Czuła się tak dobrze, jakby z zimna wróciła do domu. Zostałaby tu na zawsze, gdyby...

- To już koniec! - Jego głos przerwał milczenie, lecz nie zmącił nastroju. Ciernie już jej nie zatrzymywały. To on - nie do wiary - palcami wolno czesał jej włosy.

- Chciałbym cię znowu spotkać. Może zjemy razem kolację?  
Leciutko, prawie niewidocznie skinęła głową. Odetchnął z ulgą. Nie wiedziała, że wstrzymywał oddech.

- Świetnie! Koło siódmej? Zdasz?

- Czas się szykować! Musisz już wstać. Bo się spóźnisz!

To głos Johna, głęboki i bliski, jak pieśczoć. Serena wiedziała jednak, że coś jest nie tak. Niechętnie otworzyła oczy i zobaczyła inny świat. Nie znajdowali się już wśród bujnej zieleni cmentarza, John nie miał na sobie niebieskiej koszuli, którą tak zapamiętała. Miał na sobie płaszcz kąpielowy, który osłaniał imponujące twarde mięśnie.

Kiedy zdążył się przebrać? - zastanowiła się. Zamknęła oczy i spróbowała zrozumieć, co się stało.

- Sereno, obudź się! Dziś rano masz seminarium. Seminarium!  
Seminarium profesora Brandensona!

Świadomość miejsca i czasu przygniotła ją, jak ołowiany ciężar.

Otworzyła oczy i usiadła.

- Przepraszam... - zaczęła machinalnie.

- Nie szkodzi. Budzenie cię nie jest trudne. Z przyjemnością mogę to robić co rano.

- Nie będzie takiej potrzeby - odparła. Podciągnęła prześcieradło.

- Odtąd będę sprawdzała, czy budzik jest nastawiony.

- Nie wątpię! Cokolwiek, aby uniknąć kontaktu ze mną.

- Właśnie!

- Wiec zrobię od razu to, co mam do zrobienia! - wyrwał jej prześcieradło i schwycił jedwabne ramiączko koszulki.

- Nie dotykaj mnie!

- Przykro mi, kotku, ale już za późno na obronę dziewiczej cnoty.

- Pochylił się nad nią. - Już widziałem i dotykałem wszystkiego, co było na przynętę. I to zanim zapłaciłem za ten przywilej. -

Unieruchomił ją pałającym wzrokiem. Przesunął palce w dół ramiączka i lekko dotknął jej piersi.

- Tym bardziej teraz mam prawo robić, co mi się podoba.

- Nie, nie masz! - wyszeptała, bojąc się poruszyć, wiedząc tylko, że musi coś zrobić, żeby go powstrzymać. Jej puls już

przyspieszał, pragnienie przekształcało się w pożądanie. John zaraz wyczuje jej słabość.

- John, nie wolno ci!

- Nie mów, czego mi nie wolno! - ostrzegł. Nachylił się nad nią. - Nie masz nic do gadania w tej sprawie. Przypomnieć ci? Kupiłem cię, zapłaciłem więcej, niż trzeba. Mogę robić, co chcę.

Przez dłuższą chwilę obserwował ją bez słowa, z dłonią nieruchomą na jej piersi. Odgadywał coś z jej twarzy, ale sam zdradzał równie wiele. Krew coraz szybciej pulsowała mu w skroniach, napięcie zmieniało jego rysy. Jej opór ranił jego dumę.

- Należysz do mnie - odezwał się głosem tak bezwzględny, że aż zadrżała ze strachu. - Jesteś moją własnością. Mogę z tobą robić, co chcę i kiedy chcę. Zrozumiałaś?

Nieznacznie skinęła głową.

- To dobrze. - Jeszcze przez chwilę ich świat trwał w zawieszeniu, potem on cofnął rękę i odszedł.

Nie było powrotu do marzenia z ostatniego lata - uświadomiła sobie. Tamto marzenie minęło, nie było też tej dziewczyny, której śniła się miłość. Rozumiała teraz więcej. Może wtedy kochała

Johna, lecz to przeszło. Był zbyt przebiegły i wyrachowany, by ulec miłości. Nie mogłaby kochać takiego mężczyzny.

- Nie, na pewno nie - rzekła apatycznie, powstrzymując łzy.

Nienawidziła tej mądrzejszej, wątpliwej Sereny. Kiedyś - tamtego lata - myślała, że już ją pokonała. Z zadowoleniem wyrzekła się samokontroli, żyła uczuciami i pozwalała sercu podejmować decyzje.

Cóż za błąd! - Przyznała ze smutkiem. Ostatnie lato było szaleństwem. Skończyła z nim, lecz nadal była na łasce Johna...

„Mogę robić, co chcę i kiedy chcę”. Groził jej.

Wzięła kąpiel. Gdy owinięta tylko w ręcznik wróciła do sypialni, John znów tam był.

- Przyniosłem kawę - powiedział uprzejmie, jakby nie zauważył jej wściekłości. - Chcesz trochę?

- Nie mam czasu. - Stała bez ruchu, wyraźnie czekając by odszedł.

- Muszę się ubrać i uczesać.

- Nie przeszkadzaj sobie.

Nie mogła zrzucić ręcznika i ubierać się, gdy on patrzył. Wiedział o tym. Do diabła z nim! Odwróciła się do niego plecami i sięgnęła

po suszarkę. Gdy podniosła głowę, jej wyzywające spojrzenie napotkało w lustrze jego wzrok.

- Zadowolony z wtargnięcia na mój teren?

- To taki frazes - skrytykował ją. - Pisma kobiece pewnie pełne są takich wyszukanych określeń, ale nie spodziewałem się go po tobie.

- Przykro mi, że cię rozczarowałam.

- Nie, nie zrobiłaś tego - rzekł przyglądając się, jak zdejmuje ręcznik z głowy. - Rozdrażniłaś mnie, zawiodłaś... Tak zawiodłaś mnie, ale...

Zdecydowała, że nie musi tego słuchać i włączyła suszarkę, ale John natychmiast ją wyłączył.

- Nie skończyłem, Sereno! Wiem, że w środy często dłużej zostajesz na uczelni. Chcę, żebyś wróciła dziś wcześniej.

Wychodzimy... My oboje i Cynthia.

- Przykro mi, ale nie mogę. Możecie pójść beze mnie.

- W żadnym przypadku, kochanie! - Położył ręce na jej ramionach i roześmiał się, gdy zobaczył w lustrze jej zdziwione spojrzenie. - Stworzymy wspólny front. My troje jako jedna rodzina.



- Nie mogę! - sprzeciwiała się. - Nie było mnie przez trzy dni. Będę miała mnóstwo pracy. Profesor Brandenson...
- ...zadba o to, żebyś miała co robić - dokończył.
- Ten stary despota spędza czas na wymyślaniu zajęć dla ciebie.
- To są moje obowiązki! Ja mam...
- ...być wołem roboczym, który wykonuje większość jego pracy? - zawołał z sarkazmem.
- To zaszczyt pracować z nim - oświadczyła starając się, by zabrzmiało to chłodno. Żeby tylko nie zwracać uwagi na dotyk jego dłoni. - To zaszczyt, że mogę wykonywać część jego pracy. Ty tego nie zrozumiesz - dodała widząc sceptyczny, trochę łobuzerski uśmiech Johna.
- Jasne, że nie... - zgodził się obojętnie, ale ona wiedziała, że popełniła błąd. Zesztywniał, dumnie podniósł głowę. - Jakże mógłbym? Mam tylko niepełne średnie wykształcenie. W żaden sposób nie zrozumieć wielkiej nauki.
- Nie to miałam na myśli - zaprzeczyła przerażona, że mogło mu to przyjść do głowy. Była pewna, że jej nie kocha, może nawet nie lubi. Wie jednak, że nie jest snobką. - Wiesz dobrze, że ja nie...

- Skąd mam wiedzieć? Nic o tobie nie wiem. Poza tym, że prawie wszystko, co mówiłaś latem, było kłamstwem.

- A ty?! - zaatakowała dotknięta tym oskarżeniem.

- Myślisz, że uwierzę, że mnie nigdy nie okłamałeś?

- Być może żadne z nas nie było całkowicie uczciwe - przyznał z zimnym uśmiechem - i może mamy to, na co zasługujemy. Co niczego nie zmienia. Chcę, żebyś wróciła dziś wcześniej, Sereno.

Koniec dyskusji.

- Nie! - upierała się. - Nie mogę powiedzieć profesorowi, że wyjdę wcześniej. Rozerwałby mnie na strzępy.

- Więc nic nie mów. Po prostu wyjdź - doradził jej głosem twardym jak stal. - Bądź w domu o siódmej.

- A jeśli się spóźnię, pewnie zostanę ukarana.

- Nie! Nie ukarana. - Lekko przesunął dłońmi po jej ramionach - nie jestem poczciwym profesorem. Nie wymuszam posłuszeństwa na ludziach.

- Nie? - Broniła się sarkazmem przed skutkami jego dotyku.

- Nie. - Jego ręce sunęły w dół jej ramion, jak najłżejsza pieśczoła.

- Znam przyjemniejsze sposoby osiągnięcia celu. Coś wymyślę, jeśli się spóźnisz - obiecał. Pochylił głowę. Jego włosy pogładziły ją po

policzku, gdy dotknął ustami jej ramienia. - Do zobaczenia o siódmej, kochanie - zamruczał. - Nie spóźnij się.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

John wyszedł, nim zdążyła się jeszcze raz sprzeciwić. Nie musiał być jednak fizycznie obecny, aby panować nad jej myślami. Już pierwszego dnia była pod jego urokiem. Stała się kimś innym jeszcze przed zapadnięciem nocy.

Gdyby tamta chwila na cmentarzu, kiedy był tak blisko niej, nie wystarczyła, aby związać ją z Johnem, nastąpiłoby to podczas pierwszego wieczoru... Tego mistycznego, czarownego wieczoru...

- Tu jest fantastycznie! - zawołała Serena, gdy już złożyli zamówienia. Była chyba zbyt rozentuzjasmowana. John był na pewno przyzwyczajony do wieczorów ze zblazowanymi kobietami, które nie zachwycały się cudownie przebudowanym starym młynem.

A niech tam! - zadecydowała, wyzywająco potrząsając głową. On już wiedział, że nie ma żadnego doświadczenia. Poczuli się nagle

niezwykle odważna. Będzie tą osobą, jaką dzięki niemu się stała: pełna wigoru, nie obawiająca się okazywać swych uczuć.

-Trzy kamienie J.N. i kolacja w takim miejscu! - Nie miała dość odwagi, by umieścić Johna na liście sukcesów. - Nie wierzę w swoje szczęście!

- A ja nie wierzę w moje - uśmiechnął się do niej ponad szklanką. Jego spojrzenie zatoneło w jej oczach na dłużej.

- Opowiedz mi o J.N. i o starych cmentarzyskach.

- Nie wiem wszystkiego o starych cmentarzyskach ani o J.N.... I nikt nie wie - przyznała Serena. Potem przypomniała sobie, co John powiedział o ukrywaniu własnej wiedzy przed innymi i ruszyła do natarcia.

- Wiem teraz o nim więcej niż ktokolwiek inny. Jest najlepszym, pod względem techniki, rzeźbiarzem tamtego okresu. Jego prace są bardzo charakterystyczne i łatwo je odróżnić od prac innych artystów. Czasem zostawiał na kamieniach swoje inicjały, jednak nikt nie zna jego nazwiska. Mówią o nim tylko rzeźby, a ja właśnie odkryłam trzy jego prace, które nie są wspomniane w literaturze.

Rozwinęła skrzydła, rozkwitła w ciepłe najwyższego zainteresowania Johna. Ktoś chciał słuchać, co mówiła na temat, który dobrze znała i lubiła, więc przez cały wieczór była bardzo rozmowna. Dopiero gdy kelner proponując deser przerwał jej monolog, zorientowała się, że John nie mógłby rzec jednego słowa, nawet gdyby próbował.

- Za dużo mówię - zdziwiła się. - Zanudziłam cię na śmierć.

- Nie nudziłaś mnie. Wiele się nauczyłem...

- ...czegoś, o czym nigdy nie chciałbyś wiedzieć.

- Sereno, chcę się nauczyć wszystkiego - zapewnił ją. - Miałem czternaście lat - ciągnął z powagą - kiedy opuściłem szkołę i poszedłem do pracy. Skrajny przypadek buntu nastolatka i nieodpartego pragnienia niezależności, prawda?

Rany boskie! Nigdy dotychczas nie spotkała kogoś, kto nie skończył szkoły. Nie było tego po nim widać - stwierdziła.

- Co na to rodzice? - spytała z ciekawością i uznaniem.

- Nie było ich pod ręką, żeby mogli wyrazić opinię - odparł cierpko. - Ojciec... Kto wie? - machnął lekceważąco ręką. - Nie wiem wiele o ojcu, oprócz tego, że odszedł, nim urosłem na tyle, by go zapamiętać. Matka umarła, gdy miałem dwanaście lat i

przez następne dwa lata byłem, jak to się ładnie mówi, pod opieką państwa i kilku rodzin zastępczych.

- To okropne!

- Nie, nie za bardzo - rzekł i znowu lekceważąco machnął ręką.

Zanim skończyłem szkołę średnią, doszedłem do wniosku, że nie ma żadnego powodu, żeby nie pracować. Więc zwałem.

- I osiągnąłeś sukces - powiedziała z zapałem.

- Później - zgodził się. Nie było fałszywej skromności w tym człowieku. - Niestety, mam straszliwe luki w wykształceniu. Nie znam tematu, na który nie chciałbym wiedzieć więcej.

- Nawet o grobach purytanów? - spytała. Za sceptycznym śmiechem ukryła cały ogrom swych uczuć. - Kogo to dziś obchodzi?

- Ciebie obchodzi.

- Ja jestem inna.

- Zauważyłem to - przyznał z uśmiechem. - Nie rozstrzygnięty jest jednak problem, czy jesteś na tyle inna, aby spędzić wieczór z intelektualnym zerem?

Czy on oszalał? Stłumiła nerwowy śmiech. Była tylko nudnym mołem książkowym. Czy on poważnie myślał, że ona może nie chcieć jego towarzystwa?

- Jasne, że tak!

- Tak? Ty jesteś prawie doktorem, a ja uciekinierem z ogólniaka.

- Nie mówisz tego poważnie.

- Mówię prawdę.

- A czy doświadczenie się nie liczy? - wzięła go w obronę. -

Zobacz, ile osiągnąłeś! Gdy ja chodziłam do szkół lub szperałam po cmentarzach, ty stałeś się jednym z tych, którzy zmieniają kształt Bostonu.

- Niektórym nie podobają się zmiany.

- Nie jestem jedną z nich.

- Nie jesteś snobką? Serena Winslow Wright - wymówił jej nazwisko ze specjalną starannością - nie jest snobką?

- Oczywiście! Nienawidzę tego - rzekła ostro.

- Stać cię na to, Sereno Winslow Wright. Winslow to zapewne po gubernatorze Winslowie z kolonii Plymouth. Przy płynęliście na „Mayflower”, prawda?

Niezupełnie odpowiedziała chłodno. Miała nadzieję, że on nie mówi tego serio. - Nie jestem potomkiem gubernatora Winslowa, ale jego młodszego brata, Kenelma, który nie przyplłynął na „Mayflower”. Przybył znacznie później i nigdy niczego nie osiągnął. Był cieślą.

- Znacznie później... - powtórzył John z gorzkim uśmiechem. - Czyli nie w 1620, ale koło 1623? To był już naprawdę obcy, prawda?

- Tak - zgodziła się, ledwie powstrzymując śmiech. - Słuchaj, jeśli chcesz się czegoś dowiedzieć o moich przodkach z „Mayflower”, to mam dla ciebie jednego. Mam Johna Billingtona w swoim drzewie genealogicznym, a raczej pod nim, zapitego na śmierć. Nie jest przodkiem, z którego można być dumnym. Od początku rozrabiał i jako pierwszy zawisł na szubienicy w kolonii Plymouth. Mało ci jeszcze tej arystokracji?

- Zawsze jednak... - zaczął. Po chwili dotarło do niego. - Czy jestem przeczulony na tym punkcie?

- Być może - odparła dyplomatycznie. - Nie wierze, aby to było typowe dla ciebie.



- Raczej nie... - uśmiechnął się z aprobatą, może nawet z wdzięcznością. - Wszystko dlatego, że nagle pojąłem doniosłość kolacji z Sereną Winslow Wright.

- Sądzisz, że ja nie pojąłem doniosłości spotkania Johna Bourque?

- zrewanżowała się. – Niektórzy z moich współpracowników daliby sobie wyrwać zęby za kolację z tobą.

- Ze względu na moją forszę?

- Niektórzy tak. Wart jesteś zachodu ze względu na możliwość finansowania projektów badawczych. Gdybyś nawet nie miał centa przy duszy, niektóre panie z szacownego Studium Amerykańskiego dałyby się zabić, byle tylko pokazać się z kimś tak przystojnym, jak ty. Są też i takie - dodała pośpiesznie - i ja do nich należę, którym imponuje to, że tworzysz wielkie rzeczy. Twoja praca ma znaczenie praktyczne, podczas gdy my siedzimy zapatrzeni we własny intelekt i rozkoszujemy się własnymi odkryciami.

- Och, Sereno! - odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się. - Jesteś zupełnie inna, niż myślałem.

Zgadzała się z nim wtedy, zupełnie nieświadoma gry, do której ją wciągnął. Nie przyszło jej do głowy, że dla niego liczyło się tylko

jej nazwisko i pochodzenie. Nie podejrzewała, że prowadzi grę także wtedy, gdy zatrzymał wóz przed jej domem, położył rękę na oparciu fotela i zapytał wprost:

- Zobaczymy się jeszcze?

- Tak, chętnie! - Skinęła głową z równą szczerością. Była zbyt szczęśliwa, by grać obojętność, by udawać, że się namyśla.

- Świetnie! - Jego palce przemknęły lekko po jej ramieniu, wślizgnęły się w jej włosy. Po raz drugi tego dnia wyjął spinki. - Tak jest lepiej - rzekł z aprobatą, gdy jej włosy rozsypały się. - Lubię cię taką rozwichrzoną...

Podobała mu się rozwichrzona? Ona, która nigdy nie była i nie umiała być swobodna! A teraz czuła się bardzo swobodnie! John dotknął jej karku palcami i pieścił go powolnymi, rytmicznymi ruchami. Cudownie - pomyślała. Przymknęła oczy, odkryła, ile erotyzmu może mieć w sobie taki lekki dotyk.

- Sereno, czy mogę cię pocałować?

- Chcę tego - przyznała, urzeczona jego dotykiem, upojona bliskością i zapachem jego ciała. Nigdy dotychczas nie miała takich pragnień. Potrzebowała jego pocałunku. Jakże inaczej mogłaby być w pełni sobą?! Lecz gdy wreszcie poczuła na

wargach jego usta, otworzył się przed nią cały świat nowych pragnień.

Pocałunek... Pocałunek Johna był tylko początkiem. Najpierw delikatny, niemal troskliwy, prowadził ją coraz głębiej w tajemnicę zbliżenia z mężczyzną. Czarował ją, budził zmysły, aż rozchyliła wargi. Jego zaborczość rozpałała jej uczucia, wywołała doznania, których była nieświadoma. Gdy przyciągnął ją jeszcze bliżej, uległa chętnie, stopiła się z jego twardym ciałem, zacisnęła rękę na jego ramionach.

Czy damę mu to samo? - spytała siebie, gdy usłyszała jego nierówny oddech, taki sam jak jej. Czowała, że i on się zatracą, zdumiewało ją to, że jego pragnienie było tak samo wielkie. Niewiarygodne! - Triumfowała. Była to jej ostatnia myśl. Po chwili usłyszała te same słowa.

- Niewiarygodne! - powiedział cicho John.- Była pewna, że czyta w jej myślach. Byli teraz tak blisko, że dostroili się do siebie. Czy mogło istnieć inne wyjaśnienie? - Absolutny cud! - szeptał nie mogąc złapać tchu. Obejmował ją mocno, tulił jej głowę do piersi, muskał ustami jej włosy. - Boże, całe lata... Sereno, słodka Sereno... Kiedy cię znów zobaczę?

- Kiedy zechcesz. Kiedy tylko zechcesz - wyszeptała  
rozmarzona...

To był największy błąd mego życia - rzekła do swego odbicia w  
lustrze, odrywając myśli od tej pierwszej letniej nocy, aby  
powrócić do szarej rzeczywistości październikowego poranka.  
Żeby tak się zapomnieć! - wyrzucała sobie. Nagle opanowała się.  
Po co to robisz? Czemu tracisz tyle czasu na przeżywanie  
własnych błędów i kłamstw, w które uwierzyłaś? To nie ma  
sensu... A jednak to zabawne, jak historia nieoczekiwanie zaczyna  
się powtarzać.

Poprzedniej nocy, kiedy wyjął spinki z jej włosów, obudził w niej  
wspomnienia tamtego pierwszego i drugiego razu, wspomnienia,  
które wydawały się tak głęboko pogrzebane, że nie powinny  
więcej boleć. Ale dziś rano, gdy kpił z profesora, przypomniał jej  
ich pierwszy wieczór, ten jedyny raz, gdy zdradził jej, że cierpi z  
powodu braków w wykształceniu. Lecz to, co ceniła kiedyś jako  
przejaw rozwijającego się między nimi porozumienia, stało się  
źródłem konfliktu, sposobem ranienia jej.

Najgorsze w tym wszystkim było to, że ciągle reagowała na jego  
obecność. Boże miłosierny, nic się pod tym względem nie

zmieniło! Rozpalał ją jednym dotknięciem, choćby nie wiadomo, jak bardzo ją zranił, wbrew prawdzie, którą znała. Historia nie tyle się tu powtarzała, ile wymierzała jej policzek.

Zmarnowała tyle czasu na kłótnię z Johnem i wspominki, że nie miała szans zdążyć na środowe seminarium profesora

Brandensona. Wiedziała, że - mimo nieskazitelnej przeszłości - nie uniknie jego gniewu. W istocie, był tak zły, że gdy tylko weszła do sali, przerwał swój monolog - co już było wydarzeniem samym w sobie - i rzucił się na nią.

- Co pani tu robi?! - ryknął ponad głowami innych osób zebranych wokół dużego owalnego stołu. - To wydział wysyła panią na konferencję - za wielkie pieniądze - a pani nie robi nam nawet tej łaski, aby przyjść punktualnie następnego dnia. Zmusza mnie pani do zmiany planów tego seminarium, pozbawia swych kolegów możliwości skorzystania z tego, czego nauczyła się pani na konferencji... To nie do wybaczenia!

Serena pomyślała, że - jak na człowieka o wyglądzie Świętego Mikołaja - profesor przejawiał zabójcze instynkty Attyli - „bicza bożego”. Mieszał ją z błotem, rad z pierwszej okazji, jaką mu

stworzyła. Znosiła to ze spokojem, gdy nagle zaalarmowało ją jedno niespodziewane zdanie.

- Niczego więcej się nie spodziewałem, gdy dowiedziałem się, że oszukała mnie pani!

Oszukała go? Jak mogła go oszukać? - Serena zastanawiała się, nie próbując pytać tego anioła zemsty. Zaraz się dowie o swoim przestępstwie.

- Kiedy zgadzałem się przyjąć panią na asystentkę, była pani wolna - oskarżył ją. - Oczekiwałem i nie ukrywam tego, że całkowicie poświęci się pani pracy i mnie. Gdybym wiedział, gdybym miał najmniejsze podejrzenie, że planowała pani małżeństwo, o czym zapomniała pani wspomnieć, nigdy bym pani nie przyjął. Jeżeli praca ucierpi przez pani małżeńskie igraszki, jeśli pani i pan młody nie możecie wytrzymać w godzinach pracy, wtedy... - zawahał się, czując może, że zagalopował się za daleko.

Był mistrzem w atakach personalnych i Serena była świadkiem wielu z nich, skierowanych przeciwko innym. Tym razem jednak wyraźnie przekroczył granice przyzwoitości. Zwłaszcza tym razem! Biorąc pod uwagę, że nigdy nie było tak zwanych

mażeńskich igraszek między nią i Johnem, atak Brandensona mógłby być nawet zabawny, gdyby nie był tak bardzo niesmaczny.

- Wiec... - rzekł zbity z tropu jej gniewnym milczeniem - jeśli jeszcze raz zrobi pani coś takiego, zwolnię panią z miejsca!

- To było takie nieuczciwe! - powiedziała po seminarium Judy, najbliższa przyjaciółka Sereny z wydziału. - Nie mogę uwierzyć, że był w stanie tak się rozzłościć na ciebie, zwłaszcza że tyle dla niego robisz.

- Wszyscy przez to musimy przejść - odpowiedziała Serena. Nie umiała przejmować się profesorem. Spośród dwóch tyranów w jej życiu - Brandensona i Johna - profesor ze swoimi obelgami był znacznie mniej niebezpieczny. - Mogło być gorzej.

- Jeszcze gorzej? - zawołała Judy rozkładając rece.

- To było niesprawiedliwe. Nigdy nie miał lepszej asystentki, nikt nie pracuje ciężiej od ciebie, nie siedzi dłużej, nie wykonuje tyle jego roboty.

- Może to moja wina - zastanowiła się Serena. Jednak zdecydowanie odrzuciła sugestię, że to opinia Johna o profesorze

mogła wpłynąć na jej zdanie. - To pierwsza okazja do ataku, jaką mu dałam. Może o to miał pretensje?

- Ale on nie ma prawa! - oponowała Judy. -I nie powinien mieszać do tego twojego małżeństwa. To było obrzydliwe!

- Na pewno w niezbyt dobrym guście - łagodnie oceniła to Serena. Judy jednak daleka była od wyrozumiałości.

- Jeszcze nigdy nie słyszałam czegoś tak niesprawiedliwego. Twój mąż musi być święty... Te wszystkie godziny... I robota, którą bierzesz do domu...

- Nie jest święty, możesz mi wierzyć! - zapewniła ją Serena. Omal nie parsknęła śmiechem. John jako święty! Ale pewnie powinna wziąć sobie do serca groźbę zwolnienia.

Profesor był wysoką figurą w osobliwym środowisku Studium Amerykańskiego. Rok pracy z nim mógł zdziałać cuda dla jej kariery... Przez całe lata była to najważniejsza rzecz w jej życiu: spokojny, przejrzysty świat, w którym liczyły się osiągnięcia, a nie jej nazwisko czy pozycja społeczna rodziny. Dawał jej schronienie przed światem Lillian i Cynthii, pełnym intryg i plotek, środowiskiem, w którym pozory znaczyły więcej niż treść.



Uczelnia i przyszła kariera naukowa zawsze były na pierwszym miejscu, póki nie spotkała Johna. Latem, gdy myślała, że się kochają, prawie zapomniała o pracy, biorąc się do niej tylko wtedy, gdy nie mogła być z nim.

A teraz? To, co się teraz działo, było absurdalne - myślała zmęczona długim dniem. Zrobiła to, co musiała, jednak nie obchodziła jej ani ta praca, ani obelgi Brandensona, ani groźba zwolnienia. Wiedziała, że powinna się tym przejąć, ale jej życie zostało tak zdominowane przez Johna, że wszystko inne zdawało się nie mieć znaczenia.

Nie kocha go, broń Boże! - przekonywała siebie. Gardziła nim za to, co jej zrobił, bała się tego, co jeszcze mógłby uczynić. Nic nie zostało z miłości. John jednak ciągle był - tak jak latem - ważniejszy niż praca, bardziej absorbujący.

Nie mogę się na to zgadzać! - nakazywała sobie. W końcu zdołała zebrać myśli i zabrać się do sterty prac trymestralnych, które Brandenson zwał jej na biurko, by oceniła je przed wyjściem. Ogromna robota - myślała ponuro - ale możliwa do wykonania, dobry sposób na zmazanie porannego grzechu.

Kiedy w końcu pozwoliła sobie na krótką przerwę, stwierdziła, że sterta nie poprawionych prac wyraźnie zmalą. Przy odrobinie szczęścia upora się z nimi i uniknie kolejnego wybuchu profesora. Z powrotem do roboty! - rozkazała sobie. Rozprostowała ramiona, spojrzała na zegar wiszący na ścianie jej małego pokoju. Było dopiero po siódmej...

Po siódmej! Zerwała się na nogi. John kazał jej być o siódmej w domu, a ona zapomniała, a może nie chciała pamiętać... Co za różnica! Tak czy inaczej będzie wściekły. Zemsta Brandensona przestała być ważna. Niepokoił ją tylko John.

Był w złym humorze - wspomniała, pędząc do domu z jednym tylko pragnieniem, aby dostać się tam jak najprędzej. Coś zmieniło się między nimi, nie tylko z powodu przyjazdu Cynthii. Powinna wiedzieć, że John nie będzie wiecznie tolerował fikcyjności ich małżeństwa i zacznie domagać się swych praw. Minał prawie miesiąc względnego spokoju, miesiąc cierpliwości, lecz właśnie to się kończyło.

Spóźni się - spojrzała na zegarek - prawie o godzinę. Nie miała pojęcia, jak on na to zareaguje. Czy pomyśli, że specjalnie go nie posłuchała? Będzie zły? Głupie pytanie! Nie chodzi o sam gniew,

ale o to, jak go przejawiał. Co on powiedział? Że zna przyjemniejsze sposoby zmuszania ludzi do uległości. Nie mogła znieść myśli o tym. Nie wiedziała, jak daleko potrafiłby się posunąć. Mogła tylko przygotować się do konfrontacji. Jakiej konfrontacji?! - zdziwiła się kilka minut później. Po strachu, jaki przeżyła, doznała wręcz zawodu, gdy okazało się, że konfrontacja była ostatnią rzeczą, jaka mogła przyjść Johnowi do głowy.

- Zaczynaliśmy już myśleć, że nie przyjdiesz - zawołała Cynthia, która pierwsza ujrzała ją na progu salonu.

- Nic nie mogłam na to poradzić. Zatrzymano mnie - oświadczyła Serena z nutą wyzwania przeznaczoną dla Johna. Lecz on nawet na nią nie spojrział.

Coś intymnego działo się między nim a Cynthią. W salonie było ciemno, tylko ogień w kominku migotał ciepłym blaskiem. Oboje siedzieli na kanapie. Dwoje pięknych ludzi... Nie dotykali się, przynajmniej nie w tej chwili. Serena widziała tylko szerokie plecy Johna, ale wygląd Cynthii był bardzo wymowny. Pochylała się ku Johnowi, oferując mu pełnię swych niezaprzeczalnych wdzięków. Ubrana była w mieniącą się sukienkę koktajlową,

która nie pozostawiała niczego wyobraźni. Miała błyszczące usta i włosy rozrzucone w artystycznym nieładzie.

Jakby właśnie się całowała - oceniła Serena. Poczowała uderzenie czegoś... Bólu może? Nie chciała się przyznać do uczucia tak bezsensownego, tak... szczeniackiego... Zachowywała się jak nastolatka, której jakaś dziewczyna zabrała chłopaka. Byłby to dla niej cios, gdyby zależało jej na Johnie, co oczywiście nie wchodziło w rachubę - upewniła się szybko. Szczegóły tej intymnej scenki mówiły aż za wiele: ta nowa suknia i niedbale rzucone futerko... Kupione za pieniądze Johna. Oboje wyglądali na zadowolonych ze swego towarzystwa.

I co z tego?! John był dla niej niczym, nie miała więc powodu do zazdrości. A jednak przejmowała się. Oczywiście była to tylko kobieca próżność. Żadna kobieta nie lubi być zepchnięta na dalszy plan, pozbawiana miejsca u boku atrakcyjnego mężczyzny. Miała więcej kobiecych słabości, niż myślała.

John pogorszył jeszcze sprawę, gdy w końcu odwrócił się i spojrzał w jej stronę. Uśmiechnął się, lecz nie do niej, Serena była tego pewna. Wesóło i pobłażliwie uśmiechnął się do Cynthii.

Minęła chwila, zanim ten uśmiech zbladł, zastąpiony ostrym, pytającym spojrzeniem.

- Co się stało, kochanie? - spytał akcentując to ostatnie, puste słowo, grając rolę kochającego męża. Czemu się wysila — pomyślała z oburzeniem Serena - skoro przed chwilą z pewnością całował Cynthię?

- Powiedziałaś, że będziesz przed siódmą.

- Tak, ale Brandenson wściekł się na mnie i musiałam zostać dłużej.

- Słowo daję, Sereno! - Cynthia wybuchła perlistym śmiechem. - Wyglądasz znów jak uczennica. Musiałaś zostać dłużej...

Wspaniale!

- Ależ ona jest, że się tak wyrażę, uczennicą - dorzucił John i spojrzał na Cynthię. - A profesor Brandenson to poważna sprawa. Jego uznanie jest bardzo ważne dla Sereny. Mam nadzieję, że nie wpadłaś w zbyt wielkie kłopoty.

A co cię to obchodzi? - zastanowiła się Serena. Zmierzyli się wzrokiem, jego zimne spojrzenie nakazywało jej dalsze uczestnictwo w grze.

- Nie - skapitulowała. Ale tylko ten jeden raz, obiecała sobie. - Zapomniałam o czasie. Oceniałam za niego prace.

- Zrobiłaś wszystkie? - zapytał. Serena wzruszyła ramionami.

- Prawie. Mogę je skończyć wieczorem. Byle miał je na biurku jutro rano... - przerwała. Johna przecież nie interesowały te szczegóły. Obchodziło go tylko to, że nie wykonała polecenia. - Przepraszam za spóźnienie.

- Nic się nie stało. Masz jeszcze czas, by się przebrać. - Spojrzał na zegarek. - Cynthia odkryła tę stertę zaproszeń, które zignorowaliśmy. Przejrzała je i znalazła jedno szczególnie interesujące: dobroczynne przyjęcie z szampanem. Może zdążymy, jeśli się postarasz - zawołał za Sereną, która już szła ku schodom. Jego słowa zupełnie nie brzmiały jak rozkaz, którym bez wątpienia były.

Nie wykona go - postanowiła, zanim weszła na pierwsze piętro. Mogą iść bez niej. Co za tupet! Żeby oczekiwać całkowitego posłuszeństwa teraz, kiedy było jasne, co się tu działo, zanim przyszła!

Usiadła w bujanym fotelu i zaczęła się kołysać. Nie chciała myśleć ani o Johnie, ani o czulej scence, którą przerwała.

- Sereno! Dobrze się czujesz? Nie przebrałaś się jeszcze?

Dopiero po chwili zrozumiała, że to John. Skąd ta troska w jego głosie?

- Nigdzie nie idę! Nie potrzebujesz mnie. Masz Cynthie. Bardzo dobrze się bawiliście podczas mojej nieobecności.

John przejrzał zawartość garderoby, wybrał suknię i położył ją na łóżku.

- Chyba nie jesteś zazdrosna?!

- Nie jestem - odparła. To było zgodne z prawdą. Jej uczucia są trochę podobne do zazdrości... Mimo wszystko John jest jej mężem, a ona ma swą dumę.

- Może czujesz się opuszczona? Nie masz powodu. Nie chcę Cynthii. Nie bawi mnie to, co jest oferowane za darmo. Jesteś inna, kochanie! - szepnął czule. - Lubię wyzwania!

Objął ją w talii i postawił na nogi.

- Nie obchodzi mnie... co lubisz ... czym ja jestem... - zająknęła się tracąc oddech. Próbowwała wywinąć się z uścisku, w rezultacie znalazła się jeszcze bliżej niego. - Puść mnie!

- Nie ma mowy - potrząsnął głową i roześmiał się.

- Chyba że zgodzisz się pójść z nami.

Pójść z nami? Czy on myśli, że zwariowałam?

- Ani myślę! - odparła. Coś w niej wreszcie pękło.

- Ciebie może bawią takie imprezy, ale mnie nie. Szkoda mego czasu na coś tak bezsensownego. To ty się troszczysz o Cynthię, zapraszasz do domu, pozwalasz jej szaleć na twój koszt...

- W czym rzecz? - przerwał jej z groźnym chłodem w głosie. - Boisz się, że nie starczy dla ciebie?

- Nie obchodzi mnie to!

- Albo dla tatusia? Czy nie nadaża z płaceniem rachunków?

- Zostaw mojego ojca w spokoju - ostrzegła, choć nie do końca rozumiała, czemu go broni. Jego postępowanie było równie karygodne jak Johna. Obecnie jednak była wściekła na Johna. - On nie ma nic wspólnego z...

- On ma jak najwięcej wspólnego z tą transakcją. Jeśli ci się zdaje...

- przerwał na chwilę. Jego twarz przypominała maskę, tylko błyszczące oczy zdradzały, co czuje. - Jeśli ci się zdaje, że zmienimy umowę, choć nie dostałem nic z tego, za co zapłaciłem...

- Otrzymałeś pozycję społeczną. Masz Cynthię, która je ci z ręki. Czy to nie dosyć dla ciebie?



- Nie w tej chwili - stwierdził ponuro. - Teraz chcę, żebyś się przebrała i przygotowała do wyjścia.

- Nie idę - powiedziała i tupnęła nogą.

- Jeśli się upierasz... - Jego ręce zamknęły się w żelaznym uścisku.

- Zostaniemy tu, skoro nie chcesz wyjść, ja zaś wezmę sobie to, za co już zapłaciłem.

- Nie ośmielisz się!

- Nie? Zakazy działają na mnie jak czerwona płachta na byka. Jasne, że się ośmielę. Jak, twoim zdaniem, ktoś bez żadnej pozycji społecznej mógł zająć w życiu tak daleko? Zawsze miałem odwagę brać to, na co miałem ochotę.

- Ale nie ode mnie! - Serena zeszywniała, gdy wymusił pierwsze zetknięcie ich ciał. - Będę walczyć!

- Niezbyt długo - zapewnił ją i zaśmiał się cicho. Serena nie widziała w tym nic śmiesznego. Był teraz za blisko i jej opór zaczynał już słabnąć. Coraz mocniej czuła przez ubranie jego muskularne ciało, wdychała jego męski zapach. Gardziła nim, oczywiście, ale jej wola słabła już od żaru jego ciała.

Próbowała powiedzieć sobie, że to tylko pożądanie, lecz świadomość tego nie pomagała jej w zwalczeniu rozkosznego

podniecenia, które ją ogarniało. Jego usta zaczęły szukać jej warg, coraz bliższe było wspomnienie minionego lata, kiedy sądziła, że może mu ufać, kiedy wierzyła... Ale dlaczego ma się poddawać teraz, gdy już zna całą prawdę?!

- Do diabła! - zaklęła. Zebrała resztki woli i odwróciła twarz, uciekając przed pocałunkami. - Wygrałeś. Idę z wami.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Serena usłyszała swoje imię. Wymówiła je dziewczyna w jej wieku, w zgrabnej koktajlowej sukience i z artystycznie potarganymi włosami, co widocznie było obowiązkowe na takim przyjęciu.

- Renie! Nie wierzę własnym oczom! - Szła ku niej wznosząc kolejne okrzyki. - Całe wieki! Myśleliśmy, że oboje zniknęliście, że wycofaliście się z życia towarzyskiego! Ależ to musiał być miesiąc miodowy! - Uważnie przyglądała się Serenie.

Jak wszystkie kobiety, chce usłyszeć parę intymnych szczegółów, pomyślała Serena i aby zyskać na czasie, zaczęła jeść krewetkę.

- Byłam zajęta - zbyła ją krótko. Nie pamiętała tej dziewczyny, choć musiały znać się przed laty. Renie... Tak nazywano ją tylko w dzieciństwie. Może chodziły do jednego przedszkola, może nawet były przyjaciółkami...

To było dawno temu. Skąd mogła wiedzieć, kto teraz był kim? Prawie przez całe dorosłe życie świadomie unikała tej towarzyskiej karuzeli. A jeśli dzisiejszy wieczór należał do typowych, to nie ma czego żałować. Większość gości pochodziła z najlepszych bostońskich rodzin. Byli to prawnicy z najlepszych firm lub urzędnicy z najlepszych banków. Jedli obiady w najlepszych klubach, wspierali najważniejsze inicjatywy dobroczynne. Byli bardzo zajętymi, ważnymi ludźmi, ale ich żony - podobne do Lillian i Cynthii - wiodły bardzo puste życie. Wiodłyby, gdyby nie oddawały się gonić za tym, co błyskotliwe, modne, w dobrym tonie. Podczas ich rozmów o niczym Serena czuła się nieswojo. Czy one nie mogą mówić o czymś interesującym? - zastanawiała się często. Teraz wprost nie mogła znieść ich wtykania nosa w najbardziej osobiste sprawy. Nie znosiła też dziewczyny czyhającej na sensację z życia seksualnego młodych małżonków.

- Dalej, Renie! - przymilała się blondynka. - Co robiliście uciekwszy na cały miesiąc po weselu?

- Nie uciekliśmy - zaprotestowała, a potem poczęstowała ją ogólnikową odpowiedzią, którą do tego czasu zdołała dobrze wyćwiczyć: - Kłopot w tym, że obydwójce jesteśmy strasznie zajęci. Nie pozostaje nam wiele czasu na przyjęcia.

- Ale wiele czasu na zajęcia domowe, założę się - dorzuciła blondynka, chytrze się uśmiechając. - Gdybym wyszła za takiego mężczyznę, chyba w ogóle nie wychodziłabym z łóżka.

-No wiec... Są sprawy - odrzekła Serena po zjedzeniu kolejnej krewetki - które trzeba załatwić. Odpowiedzialność...

- Coś okropnego! - roześmiała się tamta i z niesmakiem potrząsnęła głową. - Jeśli o mnie chodzi, to miałabym w nosie całą odpowiedzialność, gdybym złapała takiego męża. On jest cudowny!

Był! - pomyślała Serena i instynktownie spojrzała ponad kieliszkiem szampana na wysoką postać Johna. Niewiarygodnie przystojny, w dobrze skrojonym, wieczorowym ubraniu, pokazywał teraz mocne, białe zęby w olśniewającym uśmiechu. Serenie zabrakło tchu i zmusiła się, by odwrócić wzrok.

- Wszystkie zastanawiamy się - wyznała dziewczyna konfidencjonalnym szeptem - kim on jest. Pod względem etnicznym. No, wiesz... Grekiem, Włochem czy Hiszpanem? Próbujemy odgadnąć. Rozumiesz, jest taki ciemny, tak seksownie wygląda. Jest w nim coś egzotycznego... Nikt nie zna jego pochodzenia, prawda? Poza tobą, rzecz jasna. Założyłam się, że płynie w nim cygańska krew.

- Czy to jakaś loteria? - zapytała Serena ze słodyczą w głosie. Kipiała wewnątrz. Cóż za bezczelność, żeby urządzać sobie taką zabawę, obgadywać Johna za plecami! - Ten, kto trafi, bierze wszystko?

- Niezupełnie! - dziewczyna wybuchnęła śmiechem. - Ale umieramy z ciekawości... Renie, powiedz! Mam rację? Jest Cyganem?

- Tak naprawdę... - Serena pochyliła się ku niej. Znajdowała złośliwą przyjemność w nabieraniu tej dziewczyny. Bez względu na to, co John robił, nie zasługiwał, by być przedmiotem żartów tej pusto-głowej blondynki. - ...to jest Amerykaninem.

- Amerykaninem? - zniecierpliwiła się. - Wiem o tym, Renie! Lecz kim był przedtem?

- Kto wie? - Serena wzruszyła ramionami. -I czy to ma znaczenie?  
Każdy z nas, jeśli się cofnąć, pochodzi skądinąd.

- Ja na pewno nie! - dziewczyna poczuła się dotknięta. - Jak  
możesz tak mówić?! Moja rodzina zawsze tu była.

- Nie mogła! - przekonywała ją Serena. Dawno się tak nie bawiła.

- Chyba że wszyscy jesteście Indianami.

- Na pewno nie! - ucięła. Jej zainteresowania etniczne  
najwyraźniej nie obejmowały Indian. - Wiesz, o czym myślę.

- Ale tylko Indianie mogą myśleć, że zawsze tu byli - tłumaczyła  
Serena. - Choć i oni są przybyszami. Są tu przynajmniej dziesięć  
tysięcy lat dłużej niż my.

Zanim się tutaj dostali, musieli przejść więcej niż ktokolwiek  
inny. Pokonanie Cieśniny Beringa podczas ostatniej ery  
lodowcowej musiało być bardzo trudne. To większe osiągnięcie  
niż przyplnięcie na „Mayflower”!

- Czy to znaczy... - blondynka zawahała się, nim przełknęła słowa  
Sereny. - Rozumiem! - zawołała zadowolona z siebie i w końcu z  
Sereny. - Chcesz powiedzieć, że jest Indianinem!

- Nie! Ja tylko powiadam, że gdyby legitymacją do towarzystwa  
było wczesne przybycie do Ameryki, wtedy najlepsze kluby

pełne byłyby Indian, zasiadaliby oni w zarządach najlepszych organizacji filantropijnych. Nie widzisz - zakończyła tonem doświadczonego wykładowcy - że całe to pochodzenie nic nie znaczy?

- Ale mądre! - skrzywiła się dziewczyna. - Zawsze chwaliłaś się tym, co przeczytałaś, żebyśmy czuli się przy tobie jak głupcy. Słowo daję, Renie! Nic się nie zmieniałaś.

- Nikt z nas się nie zmienił. W tym rzecz! - uśmiechnęła się Serena, zostawiła krewetki i odeszła. Właśnie straciła tak zwaną starą przyjaciółkę. Ciekawe, czy ma ona takie koneksje, na jakie liczy John. Jeśli tak, to jego strata!

Odszukała go wzrokiem. Musiała przyznać, że John dobrze sobie tutaj radził. Odnosił się do ludzi z szacunkiem i powściągliwością. Nie było w nim nic z parweniusza.

Jest niezły - oceniła go. Niezły był również w czarowaniu siostry, która ciągle kręciła się koło niego. To z jego czy z jej inicjatywy? - zastanawiała się, gdy nachylał się ku Cynthii, aby coś jej szepnąć. Cynthia odpowiedziała mu śmiechem.

Mają ze sobą wiele wspólnego - zamyśliła się Serena. Jakże chciałyby mieć tyle siły i charakteru, żeby oderwać od nich oczy!

Podobało im się to przyjęcie. Umieli się do niego idealnie dopasować. To ja jestem niedostosowana - przyznała. To ja uważam, że takie wieczory są śmiertelnie nudne. To ja chcę wrócić do domu i zabrać się do sprawdzania czekających w teczce prac.

Wrócili dopiero po północy. Serena zostawiła Johna i Cynthię w salonie, przy brandy i kominku. Czowała się jak Kopciuszek, gdy powoli, z teczką w ręku szła schodami na górę.

Po dwóch godzinach skończyła. Profesor powinien być zadowolony. Musiała tylko zameldować się na uczelni przed nim. Zrobiła to, co chciał, co powinno pomóc jej odzyskać jego uznanie. Starannie włożyła rękopisy do teczki i wyszła z pokoju. Na schodach zatrzymała się. Nic nie zmieniło się w czasie jej harówki. Z dołu dobiegał szmer rozmowy.

Wiele mają sobie do powiedzenia - pomyślała zgryźliwie. Lecz bez zazdrości! W gruncie rzeczy im więcej czasu spędzają ze sobą, tym lepiej dla niej. Dzięki Bogu za tę drobną przysługę! Szybko się przebrała, zgasiła światło i położyła pod baldachimem.



Leżała zapatrzona w ciemność, zdecydowana nie zasnąć, póki John się nie położy. Nie z zazdrości o czas, jaki poświęca Cynthii, ale z ostrożności. Kto wie, czy nie zechciałby wykorzystać sytuacji, gdyby zastał ją śpiącą w jego łóżku.

Obudziła ją jasność. Jeszcze zanim otworzyła oczy, odniosła wrażenie, że pokój jest zalany słońcem. Dziwne, pomyślała zaspana i ukryła twarz w poduszce. Skąd to słońce? Jest noc, druga albo trzecia godzina, czeka na Johna, prawda? Oczywiście! Czeka na niego i na nieuniknione zderzenie, gdy wreszcie zostawi Cynthię i przyjdzie na górę.

Jest jednak zbyt jasno jak na trzecią nad ranem. Ostrożnie otworzyła oczy. To słońce - stwierdziła. Był już ranek. Nie mogła powstrzymać ironicznego śmiechu. To wczorajsze czuwanie, ten chytry plan obrony zagrożonej cnoty - wszystko na nic!

Wyglądała się, podczas gdy on był tak bardzo zajęty Cynthią. Całkowicie zajęty? - zastanowiła się przez chwilę zanim zrezygnowała z rozstrzygnięcia tej kwestii. Odwróciła się, by wstać, i zobaczyła liścik na sąsiedniej poduszce.

„Postanowiłem Cię nie budzić i wyłączyłem budzik. Nie przejmuj się sprawdzianami. Podrzucę je po drodze do pracy. Załatwię Ci

też wolne na dziś. Spotkam się z Tobą i C. na lunchu u Dantego o pierwszej.

Jak zawsze - John".

„Jak zawsze - John". Co to ma znaczyć? Tymi kilkoma słowami przejął nad nią władzę. Albo tak mu się zdaje - mruknęła do siebie, zgmiotła kartkę i cisnęła ją przez pokój. Co za bezczelność! Najwyższy czas, aby się dowiedział, że nie ujdzie mu to płazem - postanowiła. Pójdzie dziś na uczelnię, choćby nie wiadomo jak był przekonany, że jej to uniemożliwił. I na pewno nie zje z nim lunchu. Zamiast tego wypowie mu wojnę, pokaże raz na zawsze, że nie wolno mu nią rządzić!

Po godzinie znalazła się w przedsiębiorstwie budowlanym Bourque. Dotychczas była tu tylko raz. Tamtego lata. Taka była wówczas zakochana - kompletna idiotka - że patrzyła tylko na niego i nie zwracała uwagi na otoczenie.

Gdy wyszła z windy do rozległego pomieszczenia recepcyjnego, uderzył ją widok, jaki roztaczał się z ogromnych okien:

niewiarygodnie piękna zatoka z wysepkami... Niebo miało kolor głębokiego błękitu, woda była o odcień ciemniejsza, a pieniające się fale tworzyły białe grzywy. Wyspy jawiły się jako kompozycja

zieleni, stonowanej purpury i złota więdnących liści. Żaden artysta nie ośmieliłby się odtworzyć tych kolorów - pomyślała. Była tak pochłonięta tą scenerią, że na chwilę zapomniała, po co tu przyszła.

- Czym mogę pani służyć? - czyjś głos z trudem wyrwał ją z zadumy. - Pani Bourque, nieprawdaż?

- Tak. - To ułatwiało sprawę, przyznała, próbując zebrać myśli. - Chcę się zobaczyć z mężem. Zaraz, proszę.

- Ależ go tu nie ma - odparła recepcjonistka. W jej głosie zabrzmiało umiarkowane współczucie. - Jest teraz na placu.

- Aha... Jaki to plac?

- Nowy wieżowiec. -I gdzie on jest?

- Na Broad Street. - W głosie recepcjonistki brzmiało teraz zdziwienie. Nie może uwierzyć, że nie wiem, gdzie jest ten plac, złościła się Serena. Czuła, że jej pozycja słabnie.

- To niedaleko. Ale nie wiem... Może go pani nie znaleźć.

- Znajdę go - zapewniła Serena z determinacją.

To nie jej wina, że nie zna tych wszystkich wspaniałych szczegółów. To nie jej wina, że nie siadają razem co wieczór, żeby porozmawiać o pracy. Przez ten cholerny interes, jaki ubił z

ojcem, John odsunął się od niej. Poczwała się oszukana. Na chwile,  
gdy

znalazła się w windzie, ból przemieszał się ze złością. Ile mogliby  
przeżyć razem! Kiedyś mówił jej o tym.

Masz lęk wysokości? - zagadnął ją kiedyś letniego dnia i ucieszył  
się, gdy zaprzeczyła. - Kiedyś wezmę cię na szczyt jednego z  
moich wieżowców.

- W jakim celu? Żeby pokazać mi, co robisz, zrewanżować się za  
cały ten czas, który musiałeś spędzić ze mną na cmentarzach? -  
zażartowała.

- Nie chodzi o rewanż - powiedział z niespodziewaną powagą. -  
Lubię chodzić z tobą po cmentarzach. Lubię patrzeć, jak  
pracujesz, gdy jesteś tak pochłonięta, że reszta świata nie istnieje  
dla ciebie...

- Czujesz się zaniebzywany - zaniepokoiła się.

- Oczywiście, że nie - uspokoił ją ze śmiechem.

- Myślałem, że gdybyś dowiedziała się czegoś o mojej pracy,  
mielibyśmy więcej wspólnego. Myślę również, że ci się tam  
spodoba. To uderza do głowy... Człowiek czuje się wolny, stojąc

na szczycie wieżowca, zanim dach i okna odetną go od świata.

Zobaczysz! - obiecał.

Zaraz rzeczywiście zobaczy, ale ta wizyta nie pogłębi wspólnoty ich przeżyć. Zwolniła, gdy ujrzała na ścianie jednego z domów znajomy znak firmowy Johna.

Budynek wydawał się już ukończony, ale jeszcze otaczała go siatka. Serena podeszła do niej nie wiedząc, jak przedostać się do środka. Nie było śladu Johna. Czyżby spodziewała się ujrzeć go czekającego na ulicy? - zakpiła z siebie.

A jednak musi coś zrobić. Była wściekła, gdy ruszała na poszukiwanie Johna, teraz jednak opuszczała ją odwaga. Jeśli będzie się wahać jeszcze dłużej- podwinie w końcu ogon i ucieknie, nie rozstrzygając niczego. W tej chwili usłyszała swoje nazwisko.

- Pani Bourque? Tędy! - Jeden z robotników zrobił jej przejście w ogrodzeniu. - Domyśliłem się, że to pani. Szef kazał mi uważać, jak pani dziś przyjdzie.

A więc wiedział! Do diabła! Ogarnął ją gniew. Słowa listu były przemyślane, dobrane tak, by ją urazić. Przygotował pułapkę, a ona dała się w nią złapać. Tego już za wiele! Mogłaby odejść, ale

to pozbawiłoby ją przyjemności wygarnięcia mu wszystkiego. Musiała wreszcie zniszczyć ten wyraz zadowolenia z jego twarzy. Podziękowała robotnikowi, w końcu nie odpowiadał za postępowanie Johna, i zmusiła się do uprzejmego uśmiechu.

- Mógłby mi pan powiedzieć, gdzie go szukać?

- Na górze - machnął ręką. Zaprowadził ją do wnętrza budynku, do rozległej betonowej groty. - To będzie pani potrzebne - zatrzymał się przy prymitywnej półce i podał jej hełm.

- To? - spytała z niedowierzaniem. - Pan żartuje!

- Niestety, nie - uśmiechnął się przepaszająco. - Szkoda, że zniszczy pani sobie fryzurę. Jeśli jest pani podobna do mojej żony, to krew panią zaleje. Ale nikomu nie wolno przebywać na budowie bez kasku.

- Myślałam, że tylko pracownicy muszą to nosić.

- Każdy musi - zapewnił ją i poprowadził ku dużej klatce ze stalowej siatki. - To niebezpieczne miejsce i trzeba uważać. Chyba nie chciałaby pani, żeby ktoś z dziesiątego piętra upuścił pani klucz na głowę, prawda?

Głupie pytanie! - osądziła i stłumiła nerwowy śmiech. Przywitała się z mężczyzną stojącym w klatce.

- Pete, tym razem twoją pasażerką jest żona szefa. Powiem mu, że już jedzie.

Klatka okazała się windą, a podróżowanie nią było czymś niezwykłym. Podczas powolnej, niemal majestatycznej wspinaczki Serena mogła oglądać niezliczone piętra mrocznej i pustej przestrzeni. W końcu znaleźli się na szczycie. Nie było wokół nic, prócz błękitnego nieba. Żadnych murów, sufitów, dachów... Nic, tylko przestrzeń... I John, czekający na nią przy klatce.

Wyglądał jakoś inaczej na tle jasnego, październikowego nieba. Był to obcy świat, smagany wiatrem i surowy, pełen hałaśliwych dźwięków budowy, jego świat, przez niego powołany do istnienia i przez niego rządzony.

Zrozumiała, że zrobił wszystko, żeby tu przyszła, żeby postawić ją w niekorzystnym położeniu. Nie uda mu się! - przysięgła. Nie obchodziła ją ani wysokość, ani bliskość krawędzi czy możliwość upadku z nie wiadomo ilu metrów. Była zbyt wściekła, aby czuć strach. Dowiodła tego, wchodząc odważnie w ten świat budowy, przestrzeni i wysokości. Wiatr uderzył w nią tak gwałtownie, że instynktownie podniosła rękę, by przytrzymać hełm.

- Ostrożnie, kochanie! - John chwycił ją w pól.
- Tu mocno wieje.
- Zostaw! Nie dotykaj mnie!
- Nie chciałbym, żeby cię zdmuchnęło ze skraju...
- Ja już jestem na skraju - ucięła. Nie obchodził ją ani ruch, jaki tu panował, ani ciekawe spojrzenia robotników. - Przekroczyłeś wszelkie granice.
- Czyżby? - zapytał aksamitnym głosem. Przyglądał się jej bacznie.
- Zupełnie nie wiem, jak!
- Przez wtrącanie się... - przerwała, by wyjąć z torebki zgniecioną kartkę, tę, którą cisnęła przez pokój, a potem zabrała jako broń przeciw niemu. - Przez to... - ciągnęła potrząsając nią.
- Przez to, co tu napisałeś, co miałeś czelność zrobić dziś rano...
- I ty to nazywasz wtrącaniem się? - spokojnie objął ją ramieniem.
- Przecież nie miało sensu zrywać się o świcie tylko po to, by położyć te referaty na biurku Brandensona przed jego przyjściem.
- A co z załatwieniem... z załatwieniem... ?! Żeby nie musiała tam iść? - atakowała. - Czy to nie jest wtrącanie się?!
- Złapałem sekretarkę czcigodnego profesora, wyjaśniłem, że się okropnie zaziębiłaś... Czy to jest wtrącanie się?



- Wiesz dobrze, że tak!

- Ale tylko trochę - przyznał łaskawie. - Przynajmniej nie wlażłem  
lwu w paszczę i nie odegrałem roli rozwścieczonego męża. Nie  
zrobiłem mu awantury za zmuszanie cię do roboty po dwanaście,  
szesnaście godzin dziennie, czego się tak bardzo obawiałaś.

Miał rację. Nie myślała o szczegółach, była jednak pewna, że John  
napadł na profesora i nagadał mu tyle, że nigdy nie będzie w  
stanie go przebłagać.

- Tak czy siak - upierała się - nie miałeś prawa...

- Chyba miałem. - Zrobił kilka kroków i - ku jej przerażeniu -  
stał tuż przy krawędzi budynku, oddzielony tylko jedną nitką,  
liną chyba, a może stalowym kablem, od przepaści. - Jestem  
mimo wszystko twoim mężem.

- Tylko na papierze - przypomniała mu przekrzykując wiatr.

- Zgadza się. - Stał z rękami w kieszeniach, kołysząc się do  
przodu i do tyłu, spoglądając w dół. - Ale to chyba coś znaczy.  
Przecież wyszłaś za mnie, choć mogłaś się wycofać.

- Nie miałam wyboru! - zawołała. Protestowała przeciwko samej  
myśli zbliżenia się do krawędzi, zmuszona patrzeć na jego plecy i

wyęczać słuch, aby go słyszeć. - Gdybym się wycofała, ojciec byłby zrujnowany.

- Nie byłoby tak źle - chłodno skwitował to John. - Gdybym nie wpłacił pieniędzy, wielu ludzi dowiedziało by się o jego stratach. Potrzebowałyby trochę czasu, żeby wyjść z dołka. Byłoby trochę wstydu, ale nie ruina. Chyba że takie publiczne upokorzenie równoznaczne jest w twoim świecie z ruiną.

- To nie mój świat - zaprotestowała. - Wiem, że mi nie wierzysz, ale to prawda. Ja z nim zerwałam przed laty. Gdybym nie wyszła za ciebie, nadal trzymałabym się z daleka od niego.

- No i wróciliśmy do punktu wyjścia - zauważył sucho. Ciągłe kołysał się na piętach na tle szerokiej panoramy, zwariowanej mozaiki dachów i kilku wyższych domów. - Kręcimy się w kółko.

- Jak we wszystkich naszych kłótniach... - załamała się nagle.

Traciła przytomność. Wiedziała, że nie stał tak blisko przepaści, jak się zdawało, nie mogła jednak znieść, gdy pochylał się nad nią, już, już w nią spadając... - Przestań, proszę! - zażądała ostro. -

To mnie denerwuje.

-Dlaczego? Czyż mój upadek nie rozwiązałby wszystkich twoich kłopotów? Byłabyś bogatą wdową Bourque, miałabyś pieniądze bez przykrości związanych z posiadaniem męża.

- To nie jest zabawne!

- Nie? - zapytał ironicznie. Odwrócił się do niej i ujrzał jej zmienioną twarz. - Przepraszam - rzekł łagodniej i cofnął się o krok. - Nie chciałem cię przestraszyć. Musi ci chyba zależeć na mnie bardziej, niż się do tego przyznajesz.

- Nie... - zaczęła i zamilkła. Miał rację, oczywiście. Zależało jej w jakiejś mierze. Wspomnienia letnich uniesień... Jej uniesień, poprawiła się zaraz. Z jego strony to tylko chłodna kalkulacja i strategia, w których był tak dobry. Więc niech ją diabli porwą, jeśli okaże mu swą słabość.

- Nie pochlebiaj sobie. Ja po prostu nie lubię wysokości aż tak bardzo, jak mi się zdawało - powiedziała ostro. - A propos, jak wysoko jesteśmy?

- Trzydzieści dwie kondygnacje.

Bez ścian i okien... Za dużo wrażeń, jak na mnie.

- Nie musimy tu stać - zaproponował już bardzo uprzejmie i zerknął na zegarek. - Moglibyśmy pójść na lunch, jeśli chcesz.

- Nie pójdę na lunch z tobą i Cynthią - oznajmiła potrząsając zgniecioną kartką. - Nie będziesz mi rozkazywał.
- Jeszcze jedna kłótnia?! Tak szybko? - westchnął.
- Tak, tak szybko! Nie zamierzam marnować czasu na posiłki z tobą i Cynthią tylko po to, abyś mógł zrealizować swój wspaniały plan. Jeśli chcesz się z nią spotkać - świetnie! Idź, ale nie myśl, że mnie tam zaciągniesz!
- Ale ja muszę ciebie tam zaciągnąć - powiedział cierpliwie, jak do dziecka. - Nie chcę, aby ludzie zaczęli podejrzewać, że coś się dzieje za twoimi plecami. Przykro mi, Sereno, ale zupełnie nie mam ochoty zostać przyłapany sam na sam z Cynthią.
- Ty hipokryto! - rzuciła mu w twarz. - Troszczysz się o pozory, a spędzasz z nią każdą wolną chwilę, jak ostatniej nocy, gdy nikt cię nie widzi.
- Ty mnie widziałaś.
- To nie to samo, wiesz o tym! W dodatku ja pracowałam, a potem zasnęłam. Mogliście robić wszystko!
- Robić wszystko? - powtórzył z namysłem. Oczy błysnęły mu groźnie. - O jakie znów grzechy mnie i Cynthię posądzasz?

- O nic was nie posądzam - zaprotestowała ostro, rozmiijając się z prawdą. - Nie tracę czasu na rozmyślania o tobie i Cynthii.

Nienawidzę tylko udawania. Nienawidzę!

- A mimo to jesteś w tym taka dobra - zauważył, znów z tym błyskiem w oku. - Minionego lata tak dobrze odegrałaś swą rolę, że zdobyłaś dla ojca nagrodę, a teraz... Może i protestujesz, ale po cichu. Na zewnątrz robisz, co możesz, żeby zachować pozory.

Sprzeciw się, a zrujnujesz wszystko!

- Grozisz mi?!

- Tak, bo nie mam wyjścia - przyznał się pogodnie. - Wiesz, że i tak musisz to robić. To część kontraktu.

- Więc nie mam wyboru - westchnęła umęczona. Złość jej minęła. Ogarnęła ją apatia. Otworzyła dłoń, aby uwolnić list. I po mojej broni, pomyślała, gdy porwał go wiatr.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Po kilku łykach „Krwawej Mary” Cynthia odżyła.

- Słowo daję, John, to nieuczciwe! - przerwała dla większego efektu i zajęła się sałatą. - To miło, że zaprosiłeś mnie na lunch, ale z tego powodu musiałam tak wcześnie wstać!

- Leniuszek z ciebie - skarcił ją, potem przypomniał sobie o Serenie i posłał jej tajemniczy uśmiech. - Pierwsza godzina to nie tak wcześnie - znów bawił Cynthię.

- Ale byliśmy na nogach tak długo - sprzeciwiła się z wdziękiem.

- Mogłabym spać jeszcze parę godzin. Co tu robimy?

- Jemy lunch, to jasne.

- Nie ma tu nic jasnego. - Jej oczy zwięzły się, gdy spojrzała mu w twarz. - Ty zawsze ukrywasz coś w zanadrzu, zawsze masz nadzieję coś osiągnąć... Słowo daję, Renie! Nie wiem, jak to możesz znosić.

- Ja też nie wiem - mruknęła Serena, ignorując ostrzegawczy błysk jego oczu. - Przypomina to życie z mistrzem szachowym. Zawsze wyprzedza cię o trzy ruchy, a ty nie wiesz, co się dzieje.

- Właśnie! A więc jakie to posunięcie?

- Powiedzieć ci prawdę? - zapytał Cynthię.

- Dlaczego nie? Raz dla odmiany... - wtrąciła Serena.

Zacisnął szczęki i rzucił jej posępne spojrzenie.

- Przyszliśmy tu - starannie wymawiał każde słowo, jakby przemawiał do dwojga nierozgarniętych dzieci - bo Josiah Stuart często je tutaj lunch.

-Mój teść? - Cynthia była zde gustowana. -I chcesz, żebym była dla niego miła?

- Tak! Jeśli przyjdzie.

-A jeśli nie? Mogę się źle zachowywać i być odrażająca?

- Nie, jest tu kilku jego przyjaciół, którzy z pewnością powiedzą mu, że ty i twoja siostra jadłyście lunch ze mną. Chcemy, żeby wszystko wyglądało normalnie i jak należy.

- O tak, jak należy! - zgodziła się cierpko Cynthia. -I nudno.

- Aby zachować dobrą reputację, warto się trochę ponudzić - zauważył John sucho. - Stąpasz po bardzo cienkim lodzie. Daj jego ojcu jakikolwiek pretekst...

- .. .a on już dopilnuje, aby Gregory ze mną zerwał - dokończyła Cynthia z goryczą w głosie. - Wiem o tym. Stosunki między nami zawsze były napięte. Przez to wątpliwe pochodzenie.

- To śmieszne! - wtrąciła Serena. - Nie powinnaś tak myśleć.

-Dlaczego nie. Mój teść tak myśli. Ja jestem Wright tylko dzięki adopcji. A to Stuartom nie wystarcza. Tata może traktować mnie jak córkę, ale nie wolno mówić, kim był mój prawdziwy ojciec. Bo był kimś zwyczajnym.

- John! - ciągnęła. - Tak to jest z tymi, którzy nie urodzili się w zaczarowanym kręgu. Nigdy nie będziemy w pełni godni szacunku. Nie ma znaczenia, że tata ożenił się z mamusią. Moim ojcem jest jej pierwszy, tajemniczy mąż, a tego Stuartowie nie zapomną. Nigdy nie będę dostatecznie dobra dla ich syna.

- Gregory tak nie myśli - wtrąciła Serena z przekonaniem.

- Być może! - Cynthia wzruszyła ramionami.

- Wiem, że tak nie myślał przed ślubem. Tak zwariował na moim punkcie, że nie obchodziły go te sprawy. Stary wiedział, że nas nie powstrzyma, że weźmiemy ślub nawet bez jego zgody.

Ponadto pan S. nie mógłby powiedzieć „nie”, nie obrażając taty.

Chociaż tyle mi przyszło z tej adopcji przez Wrightów.

-Chociaż tyle... - powtórzył John z naciskiem.

- Więc przyznajesz, że jest coś dobrego w małżeństwie z Gregorym?

- Nie zgodziłabym się z tym w pełni - zastrzegła się Cynthia, ale jej uśmiech powiedział więcej. - Zabawnie było na początku, zabawnie przez jakiś czas...



- Więc nie spiesz się z podejmowaniem decyzji - doradził John. - Nie dawaj Stuartom pretekstu do usunięcia cię z rodziny. Zawsze obawiali się plotek. Lepiej uważaj, jeśli chcesz mieć wolny wybór.

- Uważaj - powtórzyła Cynthia. W jej głosie zabrzmiał ból. - Nienawidzę tego słowa. Przez całe lata ludzie rzucali mi je w twarz, mdli mnie od tego... Takie to nudne! Żeby choć raz...

-Tylko raz, teraz, pomyśl, zanim zrobisz coś głupiego - powiedział John niecierpliwie. - Skandal rodzinny jest ci teraz najmniej potrzebny.

- Ty mi mówisz o skandalu rodzinnym?! - zdziwiła się Cynthia. Jej twarz stała się surowsza, oczy zabłyśły, jak zawsze, gdy miała powiedzieć coś gorszego. Zadowolona, że zaintrygowała Johna i Serenę, kontynuowała: - Ty podnosisz raban w obronie imienia starego rodu...?! To kpina, John! Dobre imię rodu zostało już splamione. Oczywiście, nie możesz o tym wiedzieć.

- Nikt prawie o tym nie wie - ciągnęła, wyraźnie ciesząc się, że skupiła na sobie całą uwagę Johna i Sereny, która zupełnie nie miała pojęcia, o co chodzi.

- Wielu ludzi ma podejrzenia. Ale niczego nie mogą udowodnić... I o tych rzeczach nikt ci nigdy nie powie.

Ty jesteś z zewnątrz, nikomu by się nie śniło, żeby wyjawić nasze mroczne tajemnice komuś z zewnątrz. Stare rodziny trzymają się razem.

-Jestem tego świadom - potwierdził cierpko. - Lecz my oboje jesteśmy z zewnątrz. Mogłabyś mi powiedzieć.

- Zastanawiam się, czy powinnam - zadumała się Cynthia. - Nie będzie ci przyjemnie. Zapłaciłaś kupę dolarów za nazwisko, ale dostałaś uszkodzony towar. Nie, nie obwiniaj swojej żony - zawołała, gdy jego badawcze spojrzenie objęło Serene. - To sekret taty. I niech nim pozostanie - postanowiła nagle. - A więc nie musisz się troszczyć o uratowanie naszej rodziny przed jej pierwszym skandalem. On już się zdarzył... i to o wiele większy niż ten, który wybuchłby, gdybym zażądała rozwodu.

Ku zdziwieniu Sereny Cynthia porzuciła ten temat i jak gdyby nigdy nic powróciła do błyskotliwej towarzyskiej pogawędki.

- O czym ty mówiłaś podczas lunchu? - zagadnęła Serena, gdy znalazły się w domu przy Birch Court. Siostra oczywiście wyciągnęła ją na zakupy. Dopiero teraz mogły spokojnie porozmawiać. - Ja nic nie wiem o żadnym skandalu.

-Ach, o tym? - mruknęła Cynthia z roztargnieniem. Zajęta była selekcją toreb i pudełek. - Ja też nie wiem. Zmyślałam.

- Zmyślałaś? - powtórzyła zdziwiona Serena. -Dlaczego?

- Żeby zrewanżować się Johnowi. Miałam dość jego pouczeń i chciałam dać mu nauczkę. Nie domyśliłaś się?

- Nie! - zaprzeczyła Serena. - Brzmiało to bardzo prawdziwie.

- Zawsze byłam dobra w tych rzeczach. Tylko tak można wytrzymać, gdy nikt nie chce, żeby było wesoło. Z Johnem to nie wychodzi. On jest gorszy od mamy i ojca: uważaj... wolny wybór... stąpasz po cienkim lodzie... Można zwariować!

Cynthia podeszła do barku, przyjrzała się karafkom i naląła sobie sporą porcję whisky.

-To dla twego dobra - ostrożnie zasugerowała Serena. - On tylko próbuje ci pomóc.

- Raczej sobie. To bardziej do niego podobne. Nie widzisz, co on robi? Nie wystarczy mu, że wzenił się w rodzinę. Teraz chodzi koło mojego teścia, bo Josiah jest ważniejszy od ojca.

- To chyba nie jest powód - Serena zaczęła powątpiewająco, lecz Cynthia przerwała jej śmiechem.

- Jesteś taka naiwna! Nie rozumiałaś nawet, dlaczego John się z tobą żeni, więc nic dziwnego, że nie wiesz, co on teraz robi.

Chcesz trochę? - spytała, sięgając po karafkę.

- Tak - zgodziła się Serena. Nie mogła przerwać tej rozmowy.

Umierała z ciekawości, więc wzięła szklankę, którą podała jej Cynthia, i usiadła w jednym z foteli przy kominku. - Skąd możesz wiedzieć, o co teraz chodzi Johnowi?

-Bo jestem taka jak on - wyjaśniła Cynthia z błogim uśmiechem i zajęła drugi fotel. - Jesteśmy z tej samej gliny. Wiem, jak jego umysł pracuje. Zawsze poluje na wielką szansę. Musi. Nikt nie pomaga ludziom z zewnątrz, a my tacy jesteśmy: zawsze poza czymś, zaglądając, chcąc wejść do środka... A gdy pojawi się okazja, łapiemy się wszystkich sposobów - zakończyła i wlała w siebie więcej whisky niż Serena odważyłaby się powąchać.

-A czy uratowanie twojego małżeństwa może pomóc Johnowi?

-Jasne! W przeciwnym razie nic by go to nie obchodziło -

odpowiedziała Cynthia, wzruszając ramionami. Po chwili, gdy zobaczyła zdziwioną twarz siostry, roześmiała się. - Biedna

Renie! Jest jeszcze coś, czego w nas nie rozumiesz. Jesteśmy bez zasad. Nie obchodzą nas inni ludzie, nie krwawią nam przez nich

serca, jak wam. Troszczymy się o siebie. Dlatego John chce mnie poświęcić.

- Poświęcić ciebie?

- Mhm! - Cynthia zmarszczyła brwi. - Wie, że ja nie zamierzam wrócić do męża, że wolę zostać tutaj. Ale Stuartowie znaczą więcej. Kiedy John gada o uniknięciu skandalu rodzinnego, nie myśli o nas. On chciałby, żeby Stuartowie byli bez skazy. Jeżeli mu pomogę, a chyba tak zrobię, już zadba o to, żeby stary Stuart dowiedział się, komu to zawdzięcza. Nie widzisz, że Josiah mógłby wiele uczynić dla Johna? Nie mówię tylko o interesach, bo te już robią. Mówię o... - przerwała, by wstać i nalać nowego drinka. - O lunchu w Klubie Somerset, członkostwie w Wiejskim Klubie w Brooklinie...

- Także John mógłby wiele dla mnie zrobić, jeśli miałby powody do wdzięczności. Pan S. nie daje nam zbyt wiele na życie.

Mogłabym wytrzymać, gdybym miała więcej pieniędzy dla siebie, na nowe ciuchy, trochę dobrej biżuterii... To wszystko John mógłby mi załatwić. I tak to wygląda, Renie.

-To jest wyrachowanie - oceniła Serena z niesmakiem. - Niezbyt to ładne.

- No pewnie! Nigdy nie mówiłam, że to jest ładne. Ale wyrachowanie... ? - Uśmiechnęła się tajemniczo.

- Chyba nie możesz tego tak nazywać.

- Nie? - zaatakowała Serena. - Skoro wracasz do męża tylko dlatego, że możesz na tym zyskać?!

- Czemu nie?! Wyszłam za niego, żeby coś z tego mieć - wyznała Cynthia. - John też ożenił się z tobą, żeby coś z tego mieć. Czy stał się przez to wyrachowany? Czy możesz powiedzieć, że jest taki z tobą w łóżku? Och, nie musisz nic mówić - roześmiała się, ujrawszy zaszokowaną twarz siostry. - Wiesz, co mam na myśli.

- To straszne, że tak się dzieje - wykrztusiła, a Cynthia znów się roześmiała.

- Ale sama w tym tkwisz! Jak zresztą wszyscy: ty, ja, John, nawet Gregory. Bóg tylko wie, jak mi się nie chce wracać do Houston. A i John w sumie byłby zadowolony, gdybym się rozstała z mężem... i została tutaj - dodała głaszcząc swe jasne włosy. - My, widzisz - przerwała, a tajemniczy uśmiezek powrócił na jej usta - bylibyśmy szczęśliwi mogąc spotykać się od czasu do czasu.

- Czy ty mnie ostrzegasz - zapytała Serena i zdziwiła się, że jej głos brzmi tak obojętnie - czy grozisz?

- Ani jedno, ani drugie - odparła Cynthia i poszła po trzeciego drinka. Przyniosła karafkę ze sobą, dołąła Serenie. - To nie jest współzawodnictwo. To nieuchronność. John należy do tych mężczyzn, którzy nie są długo wierni. Jest bardzo atrakcyjny, pewny siebie, ma władzę i wie, jak jej używać. Taki mężczyzna ma zawsze... duży apetyt, ty zaś nie jesteś najbardziej doświadczoną dziewczyną. Nie umiesz wiele, z wyjątkiem tego, czego cię nauczył. A to znaczy, że wkrótce się znudzi. Może już się znudził - dodała. - Poświęca mi tyle uwagi! Wiesz, że mu się podobam, a nawet coś więcej. Oboje umiemy grać w tę samą grę i wiemy, jak daleko możemy się posunąć.

- Oczywiście, że chciałabyś, aby tak się stało - zauważyła Serena. Poczwała nagle gorycz. Czyż nie uznała, że byłoby lepiej, gdyby między Johnem i Cynthią do czegoś doszło? W głębi serca jednak nie mogła się z tym pogodzić. To, co było bezpieczne i rozsądne, nie szło w parze z tym, czego pragnęła. A pragnęła, żeby John należał do niej.

- Ja zaś nie powinnam zgłaszać zastrzeżeń, prawda? - jej głos zdradzał więcej niż chciała. - Nie powinnam zwracać uwagi na to,

co dzieje się między wami, mam udawać, że tego nie ma, i czekać, aż wrócisz do Houston.

- Ogólnie rzecz biorąc, tak! Nie jest jeszcze najgorzej. Wiesz chociaż, że nie rozbiję waszego związku. Ty masz koneksje rodzinne. John dobrze wie, że małżeństwo z tobą daje mu szacunek i pozycję w towarzystwie. Zawsze przestrzega reguł gry, więc nie pozwoli sobie na rozwód. Większość żon nawet tego nie może być pewna. Więc co w tym złego - zakończyła. - Kiedy wyjadę do Houston, on wróci do ciebie. Nie masz się czym przejmować. Jeśli go kochasz tak, jak latem, nie będziesz protestować, gdy od czasu do czasu zrobi skok w bok.

Cynthia miała racje. Późnym popołudniem Serena skuliła się w łóżku Johna i rozmyślała. „Jeśli kochasz go tak, jak latem...”

Kochała. Bez względu na to, co jej zrobił. Przez ostatni miesiąc - od dnia ślubu - żyła jak lunatyczka, nie myśląc o mężu, nie pozwalając sobie na żadne uczucie do niego. Jednak przez cały czas to uczucie w niej drzemało, czekało tylko na coś, co je obudzi.

Aż przybyła Cynthia i zmusiła ją do bliższego kontaktu z Johnem. Potem cień zazdrości... Wystarczyły dwa dni, aby jej spokojny



świątek przestał istnieć. Wszystkie uczucia z ostatniego lata ożyły. Było oczywiste, że ciągle go kocha.

A więc co teraz? - powtarzała to pytanie. Jak bronić się przed miłością do Johna? Nie wyobrażała sobie większego upokorzenia niż odkrycie przed nim swych uczuć. Nie może mu ulec. Musi znaleźć siłę, aby znosić ból, który sprawia miłość do mężczyzny, który jej nie kocha.

Kochając człowiek staje się zupełnie bezbronny. Serena rozumiała teraz, że wszystko może ją zranić: myśl, okrucieństwo pamięci.

Usłyszała odgłos kroków na schodach... coraz bliższy, uświadomiła sobie to i zamarła.

Drzwi się otwały i pojawił się wielki cień Johna. Rozbłysło światło.

- Przepraszam! Mam zgasić?

- Nie! - Tylko nie intymność przyciemnionej sypialni!

- Też tak myślałem - zgodził się. Zdjął marynarkę i rozluźnił krawat. - Czy Cynthia powiedziała ci, że dziś wieczór też wychodzimy?

- Nie - odpowiedziała chłodno - ale to mi nie robi żadnej różnicy.

Ja jestem twoją kukłą. Gdy pociągasz za nitkę, muszę tańczyć,

więc... - zamilkła. Usiadła, skrzyżowała nogi i odruchowo sprawdziła, czy nie rozchylił się jej szlafrok. - Kiedy mam zacząć się szykować?

- Niedługo - powiedział ignorując jej przytyk. - Byłaś na zakupach? - zagadnął, gdy dostrzegł nie rozpakowane jeszcze sprawunki. - Mogę zobaczyć?

- Czemu nie? Zapłaciłeś za nie.

Tym razem rzucił jej krótkie, gniewne spojrzenie. Otworzył pierwsze pudełko i obejrzał jasnobrązową sukienkę koktajlową, której prostotę naruszał tylko rząd guziczków od szyi do obniżonej talii. - Powinno ci być dobrze w tym kolorze, choć na mój gust jest zbyt skromna...

- Nie kupiłam tego z myślą o tobie.

- Oczywiście - zgodził się i otworzył następne pudełko. - Ale to... - Delikatnie wyjął o odcień jaśniejsze koronkowe majteczki i staniczek.

- To pomysł Cynthii - pośpieszyła z wyjaśnieniem Serena.

- Bardzo ładne! - mruknął z uznaniem. - Nasze szczęście leży Cynthii głęboko na sercu. Cieszę się, że cię na to namówiła. -

Położył dwa kawałki materiału obok sukni, przez chwilę pieścił koronki palcami.

- Włóż to dzisiaj - rozkazał i odwrócił się. - Wezmę prysznic i pozwolę ci się ubrać bez tak wdzięcznej widowni, jaką jestem. Serena szybko wyskoczyła z łóżka, aby wykorzystać tę chwilę prywatności. Udało się, choć z trudem. Gdy John wrócił, siedziała już przy toalecie. Przez chwilę nie zwracała na niego uwagi i pewną ręką nakładała tusz, co było dowodem opanowania - powiedziała sobie, zanim spojrzała w jego kierunku. A potem poczuła, jak traci to opanowanie.

Nawet na nią nie patrzył. Ubrany tylko w spodnie i białą koszulę, z ciemnymi, jeszcze mokrymi włosami, zmagał się ze spinkami. Był tym całkowicie pochłonięty. Wszystko wydawało się takie normalne - zachwyciła się zwyczajną intymnością tej chwili. Byli jak każda inna para, wykorzystująca kilka ostatnich minut spokoju przed wyjściem. Wrażenie to spotęgowało się jeszcze, gdy John podniósł wzrok i napotkał jej spojrzenie.

- Bardzo ładnie - uśmiechnął się na jej widok. Potem wrócił do spinek. - Co to za skandal, o którym mówiła Cynthia?

- Zmyśliła go.

- Naprawdę? - Uporał się z mankietami, stanął przy niej i patrząc w lustro wiązał krawat. - Czemu miałyby to robić?
- Skąd mogę wiedzieć? - zapytała szybko. Za szybko, stwierdziła, gdy ujrzała jego sceptyczną minę.
- Powiedziała... Nie pamiętam. Że chciała cię zirytować. Że to była tylko gra.
- Dziwna gra - zauważył. - Więc nie ma skandalu w rodzinie?
- Żadnego, o którym ja wiem - odparła chłodno. I dorzuciła, aby ubiec następne pytanie: - Czy musimy o tym mówić?
- Nie, jeśli cię to denerwuje. - Dotknął jej włosów.
- To dziwne, nie sądzisz? Która rodzina nie ukrywa przynajmniej jednego skandalu?
- Nie wiem. Nie znam tak wielu rodzin. - Pochyliła się do przodu i wstała. Chciała być trochę dalej od niego.
- Mówiłeś, że zaraz wychodzimy... - przypomniała mu z drugiego końca pokoju. - Nie powinniśmy już iść?
- Zaraz - obiecał. Obejrzał ją dokładnie. - Zeszczuplałaś.
- Nie, to taki fason - wyjaśniła nieśmiało. Wiedziała, że suknia jest zbyt luźna, ale żaden ciuszek nie mógł podkreślić tego, czego nie miała. Nie można powiedzieć, żeby jej kształty były okazałe. Co

innego Cynthia - pomyślała zasmucona. - Nie lubię wyglądać, jakbym była wciśnięta w suknię.

-Jesteś zbyt wielką lady, aby pozwolić sobie na wciskanie w suknię - skomentował z uśmiechem, który pozbawił te słowa wszelkiej złośliwości. - Ale czegoś tu jeszcze brakuje - dodał po ponownej lustracji.

- Gdzie jest ten złoty łańcuch?

- Znajdź go! - mruknęła. Odwróciła się do okna i spojrzała w ciemność. Zniszczyła trwającą od kilku minut chwilę spokoju tylko dlatego, że zabrakło jej czujności akurat w tym momencie, gdy John wspomniał o łańcuchu.

Na kilka dni przed ślubem zobaczyli na wystawie tę ekstrawagancką sztukę biżuterii o wielkich, ozdobnych ogniwach.

- Co powiesz o tych kajdanach? - zażartował. Był zdecydowany kupić to dla niej, „dla przyjemności związania cię któregoś dnia”. Potem w sklepie, gdy przymierzyła łańcuch, pokręcił głową. - Jesteś zbyt szczupła, żeby nosić go jako naszyjnik. Załóż go jako pasek.

Gdy owinęła się nim w talii, nie miał wątpliwości.

- Bierzemy go! - powiedział. A gdy sprzedawca się odwrócił, spojrzał na nią tak pożądliwym wzrokiem, że wybuchnęła śmiechem. Taka była szczęśliwa, taka zakochana... Albo przynajmniej tak jej się zdawało.

- Jest! - usłyszała Johna. Podszedł do niej, odwrócił twarzą do siebie. Z obojętną miną opasał jej talię łańcuchem. - Tak będzie lepiej - zdecydował. Jego długie, zręczne palce poprawiły fałdy sukienki. - Lepiej... Ale ciągle jesteś za szczupła - ocenił. Przesunął palcami po jej talii i delikatnym łuku bioder. - Za bardzo żyjesz nerwami.

- To twoja wina - powiedziała załamującym się głosem. - Nie oskarżaj mnie!

- Nikogo nie oskarżam - bronił się. Przyciągnął ją bliżej. - Mogłabyś wiele ułatwić sobie... i mnie. Odpreż się, kochanie! - zachęcał. Dotknął ustami jej skroni.

- Nie musisz się spalać.

-Ja się nie spalam... - Nie była to prawda. Wystarczyło byle co, żeby rozniecić ten płomień: jego zapach, jego bliskość, ciepło jego ciała, jego dotyk. W takich chwilach John budził w niej zachłanność, zmuszał do przyznania się, że pragnie czegoś

więcej. Tak wiele umiał, potrafił rozpalić ją. Sprawiał, że zdawało się...

-Może być tak spokojnie... Odpręż się tylko - szepnął.

- Żebyś mógł wziąć wszystko, co chcesz? - Gorycz wzmocniła jej opór, pomogła odejść. - Nie jestem taką idiotką!

- Jeszcze nie - poprawił ją i lekko się uśmiechnął.

- Możemy już iść? - zapytała przekornie, a on skinął głową.

- Oczywiście. Ale ty tylko odpychasz to, co nieuniknione.

Musiał mieć ostatnie słowo. Do diabła z nim! Niestety, prawdopodobnie miał rację.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

-John jest bardzo seksowny - wyznała Serenie jedna z uczestniczek przyjęcia. - Wiedziałam, że jest pociągający, widywało się go tu i tam, ale wiesz... Nie rozmawiało się z nim. Nikt z nas go nie spotykał, z wyjątkiem niektórych mężów, i to tylko w interesach.

- Co przecież się nie liczy - powiedziała Serena.

- Oczywiście, że nie! Moja droga, gdybyśmy miały spotykać się z wszystkimi, z którymi nasi mężowie robią interesy! Pomyśl, ilu okropnych ludzi musiałybyśmy w końcu poznać!

- Innymi słowy, takich jak John - sprecyzowała Serena.

-Tak! Choć John chyba nie jest taki okropny. Inaczej nie wyszłabyś za niego. Teraz to nawet zabawnie jest spędzać czas z mężczyzną, który w ten sposób patrzy na ciebie.

- W jaki sposób?

- Przecież wiesz! Myślę o tym uśmiešku, który ma w oczach, jakby - przerwała rozkoszując się podniecającym dreszczem - rozbierał cię i myślał o najokropniejszych rzeczach.

- Pewnie tak robi - zasugerowała Serena.

- Och, chyba nie! W końcu nie jesteście długo po ślubie. Lecz gdyby on tak... Chyba nie ma kobiety, która mogłaby mu się oprzeć. Zadziwiające, jak szybko dopasował się do towarzystwa - ciągnęła entuzjastycznie. - Kto by pomyślał?! Nie urodził się przecież

wśród uprzywilejowanych. Musiał się wszystkiego nauczyć: jak się zachowywać, jak stosownie postępować...



- Ale to nie jest takie trudne! - odrzekła Serena. Miała już dość. -  
Żeby zachowywać się stosownie, wystarczy tylko być  
uprzejmym, przestrzegać paru podstawowych zasad i uważać na  
to, co się mówi i co zostawia nie wypowiedziane. Oczywiście  
niektórym nie starcza życia na opanowanie tej sztuki.

- Sereno! - zawołał ktoś do niej. - Biedna Cynthia! Kiepsko się  
bawi, prawda?

- Tak myślisz? - Rozejrzała się za siostrą.

- Czy nie widzisz? - denerwowała się przyjaciółka Cynthii. - Ona  
się w ogóle nie bawi.

- Pewnie tęskni za Gregorym - zasugerowała Serena, ściśle  
realizując strategię Johna. - Myślałyśmy, że będzie świetnie, gdy  
spotkamy się na Birch Court już jako stare mężatki. Chyba jednak  
powinnyśmy poczekać aż Gregory będzie mógł jej towarzyszyć.

- Bądź realistką, Sereno! Twoja siostra spuściła nos na kwintę, bo  
lubi być w centrum uwagi, a jest już przebrzmiałą sensacją.

Pewnie powinnam się nią trochę zająć... Nie, widzę, że John  
zatroszczył się o nią. Co za czarujący mężczyzna!

Za bardzo czarujący - pomyślała Serena. Szkoda, że nie ma  
krewetek. Pozwoliłyby zająć czymś ręce. Na dzisiejsze przyjęcie

przygotowano japońskie menu: suszi i sake, których Serena nie lubiła. W ogóle powinna unikać takich przyjęć jak zarazy!

Rozejrzała się za cichym zakątkiem, gdzie mogłaby na chwilę odetchnąć.

Znalazła go w głębokiej wnęce okiennej. Mogła z niej obserwować przyjęcie. A raczej męża - przyznała. Właśnie wykorzystywał swój urok, aby rozerwać Cynthię. Nachylił się ku niej, mówiąc coś bardzo osobistego. Gdy Cynthia roześmiała się, spojrział na nią z zadowoleniem i uścisnął jej ramię.

Wyglądają, jakby należeli do siebie - pomyślała Serena z udręką. Mieli wiele wspólnego. Lubili takie przyjęcia, a jeszcze bardziej lubili siebie, choć Serena wątpiła w jakieś głębsze uczucie między nimi. Zbyt wiele wyrachowania było w ich stosunkach. Ale uprawianie miłości to co innego. Możliwe, że tak się stanie. Jeśli już nie... Uśmiechali się porozumiewawczo, wymieniali znaczące spojrzenia. Czy może dojść do tego dziś? - zastanowiła się i przeraziła, bo chyba już znała odpowiedź.

- Sereno, czyżbyś się ukrywała?

- Skądże! - zaprzeczyła i zmusiła się do promiennego uśmiechu. Znowu ktoś chętny do plotkowania, tym razem dość znajomy, chyba ze szkoły sprzed lat, Daisy czy Maise...

- Nie mam pojęcia, co możesz robić w tym kącie - zdziwiła się Daisy. Tak, to była Daisy. - Gdybym wyszła za takiego oszałamiającego mężczyznę, przykleiłabym się do niego na amen. To przebój wieczoru! A Cynthia je mu z ręki! Tylko się nie martw, chyba nie będzie taki niedyskretny. Zwłaszcza że tyle ma tobie do zawdzięczenia.

- Nawet beze mnie byłby przebojem wieczoru - powiedziała Serena, aby odejść od bolesnego tematu Cynthii.

- Kochanie! Bez ciebie nie zostałby tu zaproszony! - wyjaśniła Daisy. - Był tylko tolerowany na imprezach dobroczynnych. Na pewno jeszcze nie może uwierzyć w swoje szczęście.

-Tak samo jak ja. To przecież jest zabawa we dwoje. On ma mnie, ale ja mam jego – wspaniałego mężczyznę, zamiast jakiegoś zaszuszonego, choćby nawet rasowego, arystokraty.

- Oczywiście, masz go. Ale czy potrafisz go utrzymać? Do diabła! Skończyła mi się sake. Ty też nie masz... A ja chciałam, żebyśmy wypity - roześmiała się lekko - za szczęście.

- Dziękuję! Ja nie lubię...

- Nie bądź nudna. Musimy wypić. Bóg jeden wie, ile szczęścia będzie ci potrzeba. - Przywołała kelnera i wzięła dwie sake. - Za ciebie, mądralo! Za zdobycie tego zastrzyku cudownie nowej męskiej, krwi. Tylko pamiętaj! Będziesz musiała mocno dbać o niego, bo inaczej zaczniesz fruwać.

Jakby już nie zaczął - dodała w myślach Serena i wypła.

Zastanowiła się, co rzekłaby Daisy, gdyby dowiedziała się, że ona nie zna męskości Johna, nie wprost... Jeśli nie liczyć tego przekłętą lipcowego wieczoru.

- Między nami, moja droga - Daisy ściszyła głos do teatralnego szeptu - to ja nigdy nie spodziewałam się, że wyjdiesz za takiego mężczyznę. Musisz przyznać, że byłaś trochę inna.

- Nadęta - sprostowała Serena z wyszukaną uprzejmością. - Mól książkowy... Najnudniejsza dziewczyna na świecie...

- Ty to powiedziałaś, kochanie! Nie ja!

- Jasne! - przyznała Serena i zmusiła się do śmiechu. Właściwie po co ten wysiłek? Daisy wie o wszystkim. Ilu gości tego przyjęcia wie o tym? Większość. Pewnie śmieją się z niej lub - co gorsza -

litują się nad nią. Więc pokaże im, że nie jest idiotką, za jaką wszyscy ją mają.

- Oczywiście, to nie jest normalne małżeństwo -wyznała i natychmiast opadły ją sprzeczne myśli. Co ja robię? - spytała siebie. Nie powinna pić sake. Chyba nie upiła się tak. szybko, prawda?! A jednak czuła, że traci kontrolę nad sobą. - John nie spojrzalby na mnie - gdyby nie...

- Cześć kochanie! Tęskniłem za tobą.

- O wilku mowa... - powitała go Serena przytomniejąc. Nie wiedziała czemu, była jednak pewna, że powiedziałaaby Daisy prawdę. On z drugiego końca sali odgadł to i przyszedł, aby ją powstrzymać. Tylko coś niesłychanie ważnego mogło oderwać go od Cynthii. Cały promieniał urokiem, ale jego oczy błyszczały ostrzegawczo: ani kroku dalej!

Lecz do tej gry potrzeba dwoje, postanowiła w nagłym przyływie odwagi. Przestanie jej być tak pewny, gdy zrozumie, że ona ma choć jedną broń przeciwko niemu.

- Cóż za przypadek! Właśnie rozmawialiśmy o tobie. Poznaj Daisy. Zdaje się, że chodziłyśmy razem do szkoły - wyjaśniła niedbale, wzięła głęboki oddech i dokończyła sake dla dodania

sobie animuszu. - Daisy właśnie mówiła, jaka jestem sprytna, że zdobyłam ciebie. Tak to ujęłaś, prawda, najdroższa? Oczywiście Daisy nie wie, o czym mówi...

- Jesteś zbyt skromna - rzekł pobłażliwie i objął ją ramieniem. Obrócił ją twarzą ku sobie. Tylko ona wiedziała, jak mocno ją trzymał, ile ostrzeżenia było w tym uścisku. - Powinnaś wiedzieć, że zostałem oczarowany już w pierwszej chwili...

- Czyżby? - Przez długą chwilę patrzyła mu prosto w oczy, prowokując go do zrobienia sceny. Potem, lekceważąc uścisk, zwróciła się do Daisy. - Czy ty, pytam się, wierzysz, że ktoś tak oszałamiający... Bo ona uważa - to było do Johna - że jesteś oszałamiający. Daisy, czy naprawdę wierzysz, że taki mężczyzna jak John może dać się złapać komuś takiemu jak ja?!

- Jesteś moją miłością od pierwszego wejrzenia. -

Objął ją, odwrócił ku sobie, zanim mogła stawić opór.

- Od pierwszej chwili pragnąłem ciebie.

- Oczywiście, że mnie chciałeś, ale nie o to chodzi. Dlaczego chciałeś? - oto jest pytanie. Większość ludzi już wie, są jednak jeszcze naiwni, którzy nie wiedzą, czemu mnie chciałeś.

- Czy to nie oczywiste? - Przyciągnął ją bliżej, pochylił się i dotknął ustami jej policzka. - Kochanie! - szepnął rozwiewając oddechem jej włosy. - Posunęłaś się za daleko.

- Posunę się tak daleko, jak mi się podoba. Nie możesz mnie powstrzymać.

- Nie mogę? No to uważaj! - ostrzegł ją tym samym intymnym szeptem, a potem odezwał się głośniej:

- Kochanie, sake uderzyła ci chyba do głowy.

- Nieprawda! Gdybyś nie poświęcał tyle uwagi...

- ...wszystkim innym - dokończył i pocałował ją, skutecznie zamykając jej usta. - Biedactwo! Czy mi wybaczysz?

- Nigdy! - odparła. Była bliska prawdy. Jak mogłaby kiedykolwiek wybaczyć mu te krzywdy?! Jednak trudno było się złościć, trudno nawet było myśleć, gdy czuła na wargach jego usta. Uwierzyła, że może z nim walczyć, podczas gdy on był takim doświadczonym, takim genialnym... Westchnęła. Nie obchodziło go, że znajdowali się wśród ludzi, których większość chciwie przyglądała się tej scenie. - Przestań! - wyszeptała niepewnie. Traciła siły w tej rozkosznej udręce. - Nie mogę myśleć...

-I dobrze! - jego usta znalazły niewiarygodnie wrażliwe miejsce obok jej ucha. - Nawet nie próbuj.

Omdlewała, jej ciało już płonęło pod każdym jego dotknięciem. Zdołała się jakoś wyswobodzić.

- Pozwól mi odejść.

- Możesz się przewrócić.

- Idź do diabła! - fuknęła, a on roześmiał się w głos.

- Nie posłucham cię, kotku! Zamiast tego zabiorę cię do domu, zanim powiesz coś, czego potem będziesz żałować.

- Czego ty będziesz żałować!

- To też - zgodził się. Wiedział, że wygrał. Oboje o tym wiedzieli.

Ona tym razem nie zdradzi jego tajemnicy. Przeprowadził ją przez tłum. Po drodze zabrali Cynthię.

Przed domem odrzuciła pomoc Johna przy wysiadaniu z wozu.

- Dziękuję. Dam sobie radę - powiedziała bardzo zimno, z wielkim opanowaniem. Znalazłszy się w środku, poszła prosto ku schodom. Nie obejrzała się za siebie. Nie mogłaby znieść widoku tamtych dwojga obserwujących jej odejście. Jasne, że mieli plany na resztę nocy. Wcale jej się to nie podobało. Która kobieta byłaby zadowolona?! Weszła do sypialni, lecz nie



włączyła światła. Bolało. Musi boleć. Która kobieta nie cierpi z powodu niewierności męża?!

Zaczęła mocować się z zapięciem paska. Zauważyła, że jej palce drżą za złości. Tej nocy była kobietą wzgardzoną. Ogarnęła ją wściekłość na Johna i Cynthię za narzucenie jej tej roli, a jeszcze bardziej na siebie za to, że się przejmowała. Rozpięła wreszcie pasek i usłyszała, jak spadł na podłogę.

- Dość tych kajdan - powiedziała głosem równie drżącym co palce. Zaczęła rozpinać długi rząd guzików z przodu sukni. Nie uporała się nawet z pierwszym, gdy coś ją ostrzegło, że nie jest sama. Podniosła głowę i zobaczyła Johna. Ciągle jeszcze w wieczorowym ubraniu, stał oparty o drzwi i patrzył na nią z napięciem.

- Co tu robisz? - zapytała.

- Przyszedłem zobaczyć, czy wszystko w porządku - odpowiedział. Jego twarz nie zdradzała żadnych uczuć.

Przecież ja go nie obchodzę, przypomniała sobie. Jego nieoczekiwane pojawienie się jest tylko... Czym? Wyrzutem sumienia? Czy przed przystąpieniem do realizacji niecznych

planów chce się upewnić, że ona jest już w łóżku? Zresztą i tak nie może to mieć znaczenia, musi ukryć swój ból.

Z nieświadomym wdziękiem i dumą wyprostowała się i spojrzała mu w twarz. Powróciła do rozpinania guzików, aby pokazać, że jego obecność nic jej nie obchodzi. Opanowanym głosem odpowiedziała:

- Oczywiście, że w porządku. Możesz teraz wrócić na dół.

- Nie mam zamiaru.

- A co z Cynthią? - zagadnęła szyderczo. Zamilkła, jej palce nie były bowiem zbyt pewne i odpięcie pierwszego guzika wymagało całej jej uwagi. Drugiemu musiała poświęcić równie wiele czasu. - Czy nie będzie rozczarowana, gdy do niej nie wrócisz?

- Możliwe - przyznał. Zdjął marynarkę i niedbale rzucił ją na fotel. - Uczucia Cynthii mnie jednak nie obchodzą.

- Obchodziły cię przez cały wieczór - przypomniała mu i odpięła trzeci guzik. Jej palce nabierały wprawy.

- Nie powinieneś zaniedbywać jej teraz.

- Czy o to ci właśnie chodzi? - zdziwił się. - Chyba nie jesteś zazdrosna.

- Nie jestem zazdrosna! Mam tylko dość przyglądania się, jak świat - wraz z tobą — kreci się wokół Cynthii. Może się mylę - ciągnęła z wyszukaną uprzejmością, nie przestając zmagać się z guzikami - ale zdawało mi się, że mieliśmy wyglądać na...

- ..szczęśliwe małżeństwo - odpowiedział jej z cynicznym uśmiechem. - W zasadzie tak. Niewiele jednak zrobiłaś dziś wieczór w tym celu.

-I ty śmiesz to mówić... - Zaszokowała ją bezczelność tego oskarżenia. - ...po wieczorze, podczas którego flirtowałeś z Cynthią, śmiałeś się i bawiłeś tuż u jej boku?! Jakie to było niesmaczne. Wszyscy widzieli i mówili o tym. Wszyscy!

-Wszyscy twoi wspaniali przyjaciele z towarzystwa? - przerwał jej z nagłą zawziętością w głosie i niebezpiecznym błyskiem w oczach. - Wszystkie te przyjaciółki, z którymi się wychowywałaś, chodziłaś do szkoły, które uważają, że nie jestem dość uprzejmy i że wyszłaś za kogoś gorszego od siebie?!

- To nie tak!

- Oczywiście, że tak! Wiem, co myślą o mnie... I co tobie mówią. Przypuszczam, że z tego powodu - dodał z namysłem, już bez złości - byłaś bliska złamania naszych ustaleń. Czy jest przyjęte w

twojej sferze godzenie się na mezalians pod warunkiem, że w grę wchodzi duże pieniądze?

- Nie mam pojęcia! - odparła. Zapomniała o guzikach ugodzona nowym docinkiem. - Czy jest przyjęte w twoim środowisku ignorowanie żony dla takiego zepsutego bachora jak Cynthia?

- Czy nie dociera do ciebie, że może mnie pociągać, bo nie jest snobką? Bo nie ma nic przeciwko mojemu pochodzeniu? I wygląda na to, że mnie lubi?

- Cynthia lubi wszystko, co nosi spodnie - rzekła zjadliwie Serena.

- Zwłaszcza jeśli pokrywa jej rachunki.

- A ty jesteś inna?

- Bardziej wymagająca - odpowiedziała. - I pieniądze nigdy nie miały dla mnie znaczenia, dopóki ty z ojcem... - słowa zamarły jej na ustach, gdy spostrzegła, że w jego oczach zabłysło coś nowego, że śledzą one najmniejszy ruch jej palców. Coś się zmieniło między nimi. Zmienił się układ sił. John nie był już zimnym dręczycielem. Tym razem ona zadawała mu męki. Zrozumiała, że nie tylko on ją pociągał, ale i ona jego. Wykorzysta to, postanowiła. Jej serce zabiło szybciej. Pragnienie zemsty było tak silne, że niemal czuła jej smak. Zmusiła palce do powolniejszych

ruchów, z premedytacją odwlekała chwilę, w której... - Nic nie wiedziałam o waszej umowie.

- Ciągłe to mówisz - rzekł półprzytomnie. Z napięciem patrzył, jak odpina jeden guzik, potem następny. - Ciągłe udajesz niewiniątko.

- Nie udaję.

-A w tej chwili...?

Odpięła jeszcze jeden guzik, sięgnęła po kolejny i nie znalazła go.

Zerknęła w dół i stwierdziła, że uporała się ze wszystkimi.

Sukienka była rozpięta aż po obniżoną talię, prowokacyjnie ukazywała satynę i koronkę staniczka.

- Tak, być może - przyznała beztrósco. - Mam przestać?

- Nie! - zawołał nieco zdławionym głosem. - Jeszcze nie.

-Dobrze! - zgodziła się. Sukienka zsunęła się z jednego ramienia.

Serena usłyszała jego nierówny oddech. Stał nieruchomo, z założonymi rękami, trochę spięty. Patrzył na nią, pożerał ją ciemnymi, błyszczącymi oczami. Nareszcie! Poczwała słodkie ukojenie zadośćuczynienia, triumfu.

Wreszcie była górą. Choć raz panowała nad nim. Chciała przedłużyć tę chwilę, delectować się nią do końca, do zemsty. Z

rozmyśłem uwolniła drugie ramię. Usłyszała szelest  
spływającego w dół materiału. - Proszę bardzo! Zadowolony?  
- Zadowolony? - mruknął i pytająco uniósł brew.  
- O czym ty mówisz?  
- Mówię, że powinieneś być zadowolony. Na dziś darmowy  
pokaz skończony.  
- Jaki darmowy, kochanie? - zdziwił się. Był znów opanowany. -  
Zapłaciłem sporo za prawo...  
- Nie masz żadnych praw - przerwała mu ostro.  
- Żadnych!  
- Ależ mam! - zapewnił z pozorną łagodnością. -I mam zamiar z  
nich skorzystać.  
- Ale ja tego nie chcę - krzyknęła. Ogarnęła ją panika. Jak zdołał  
odzyskać przewagę? - Nie ośmielisz się!  
- Przecież wiesz...! - powiedział leniwie. Nie było jednak nic  
leniwego w nim, gdy się poruszył. Przypominał drapieżnego  
kota. Patrzyła szeroko otwartymi oczami, jak się zbliża do niej.  
- Dość długo byłem cierpliwy. Chcę teraz tego, za co zapłaciłem.  
- Nie! - zrobiła krok do tyłu i znalazła się w pułapce między jego  
wielkim ciałem a łóżkiem. - Nie pozwalam ci!

- Nie masz wyboru, kochanie! - Czy ojciec zapomniał ci powiedzieć, że nie opatrzył kontraktu żadnymi ograniczeniami? Należysz do mnie, Sereno, i całe twoje piękno też.

Doprowadzona do ostateczności rzuciła się na niego, ale John złapał ją za ramię. Walczyła ze wszystkich sił, daremnie odpychając wolną ręką jego pierś. Ostatnim wysiłkiem wykręciła się, lecz przygnieciona ciężarem jego ciała padła na łóżko.

- Nie wolno ci! Nie chcę!

- Chcesz! Cóż innego znaczył twój striptizik? - obserwował jej twarz, gdy szukał jej ciała ukrytego pod satyną i koronkami. Ach, te jego dłonie! Coraz śmielsze... Lekko przemknęły przez piersi, lecz nie zatrzymały się.

-To nie był...

- Był! - przekonywał ją. Wrócił dłońmi na jej piersi.

- Nie! - Traciła oddech. Żeby uciec jakoś od tych pieszczot! - Nie miałam zamiaru...

- Miałaś! - stwierdził krótko. Przesunął się i uwolnił ją od swego ciężaru. Leżał teraz obok niej, oparty na ramieniu, aby lepiej widzieć jej twarz, tak pewny swej przewagi, że ledwo jej dotykał.

- Miałaś, wiesz o tym - szepnął. Tylko pieszczotą trzymał ją w niewoli. - Oboje od samego początku chcemy tego.

Próbowała zaprzeczyć, lecz słodkie omdlenie już ogarniało jej ciało, rozpraszało myśli. Traciła głowę. Ach, te dłonie...! To na piersi, to gdzieś indziej... Nie dające odetchnąć, ciągle czegoś szukające i znajdujące, zachęcające do odpowiedzi... Poddała się. Jej ciało wygięło się w poszukiwaniu jego dotyku.

- Tak. Teraz dobrze... Teraz lepiej, prawda? - Powoli, zbyt powoli pieścił każdy centymetr jej ciała, od delikatnego wygięcia stopy po miękkość ud. Potem dowiódł jej, jak cudowne może być samo odpinanie podwiązek i zdejmowanie jedwabnych pończoch. Resztki jej wstydu ulatniały się.

- To nie jest uczciwe - zaprotestowała słabo i wyciągnęła do niego rękę. Zmarszczyła brwi niezadowolona, gdy napotkała nakrochmalony materiał. - To mi przeszkadza.

Z niecierpliwością odpinała spinki, aby w końcu rozchylić koszulę. Westchnął głęboko, gdy zerwała ją z niego.

- Dobrze ci teraz? - zapytał z czułością.

Dobrze? To słowo nie oddawało niczego, co poczuła, gdy uwolnił ją od koronek i satyny. „Dobrze” było tylko chłodem w



porównaniu z tym, czego doznała, gdy położyli się razem, niczym już nie dzieleni, aby wspólnie przeżywać ogrom podniecenia, prawdziwy płomień ich dotykających się ciał. Czy była to miłość, zastanowiła się. Czy miłość może zapłonąć tam, gdzie było tyle złości i nieporozumień? Niech będzie to miłość, prosiła.

- Och, tak! - wyszeptała ogarnięta przemożnym pragnieniem dotknięcia go, zwrócenia mu choć części tych pieszczot, którymi ją obdarował. - John, ja nigdy...

- Żadnych słów... Nie teraz - nakazał jej. Jego usta cudownie rozchyłały jej wargi, brały ją w posiadanie. - Nie myśl o niczym. Niech pozostanie tak, jak jest.

Żadnych słów - zgodziła się chętnie. Nie potrzebowali słów, nie teraz, kiedy każdy pocałunek i każda pieszczota mówiły wszystko. Stała się nagle wyczulona na najmniejsze drgnienie jego i własnego ciała, ośmielała się pobudzać i kusić go, a jego dłonie i usta rozpalały jeszcze bardziej jej pożądanie. W końcu, gdy świat stał się jednym wielkim doznaniem, zawładnęło ją jedno wielkie pragnienie. Było silniejsze, głębsze niż mogła to

sobie wyobrazić. Ogarnęło całe jej ciało, złamało do końca jej opór, zaniósło na samą krawędź rozsądku.

- Proszę - powiedziała przerywanym głosem i przyłgnęła do niego. - John, proszę...

Znieruchomiał nad nią, z napięciem zajrzał w jej oczy.

- Sereno! - jego głos był zdławiony, napięty. - Jesteś pewna?

-Tak! - Jej ręce przyciągały go mocno, ciało prężyło się. Niech już wypełni tę bolesną pustkę, pomyślała. - Tak, John. Weź mnie.

Wziął ją, zaniósł gdzieś na skraj... I jeszcze dalej, w szaleństwo, w opętańczy wir namiętności. Jak przez mgłę, w ostatniej eksplodującej sekundzie usłyszała jego oddech, tak samo zdyszany jak jej, poczuła jak jej odpowiada całym ciałem w nie kończącej się chwili, gdy dawał jej spełnienie, którego tak łaknęła.

- Zadowolona? - zapytał, gdy burza ucichła. -Mhmm... -

uśmiechnęła się leniwie. Co to za słowo? Zadowolona... Jeszcze jeden pusty dźwięk niezdolny do oddania pełni jej uczuć. -

Oczywiście. Bardziej niż zadowolona - wyznała i spojrzała na Johna. Po raz pierwszy widziała go odprężonego, wolnego od najwyższej czujności i nerwowego napięcia.

- To dobrze. - Położył się obok niej, oparł na łokciu i obserwował jej twarz. - To przeszło moje najśmielsze oczekiwania - odezwał się rozleniwionym, zadowolonym głosem. - Byłaś... Byłaś fantastyczna. Będziemy to robić często. - Wodził palcem po jej brwiach, rysował nim jej profil.

- Mam nadzieję - wyznała, trochę teraz śmielsza.

- Jasne, że masz, rozpustna potomkini pierwszych pielgrzymów, tak wspaniale reagująca, z taką głębią, z takim ogniem...! - szeptał dotykając słodkiego wycięcia jej ust.

- To przez ciebie. - Jej usta rozchyliły się poddane pieścizocie. Zwilżyła je, odważyła się dotknąć językiem jego palca. A potem ośmieliła się na coś jeszcze większego: na wyznanie, które było absolutnie prawdziwe. - Kocham cię.

Cofnął dłoń w tej samej chwili.

- Tylko nie to, koteczku! - zastrzegł się. Jego oczy zwęziły się. - Nie posuwaj się za daleko.

- To prawda! - upierała się. Sięgnęła po jego rękę.

- Zawsze cię kochałam, ale po tym...

- Oszczędź mi tego - przerwał jej. W jego głosie wyraźnie brzmiało ostrzeżenie. - Oboje wiemy, czego się spodziewaliśmy

po tym małżeństwie. A teraz wiemy, że jesteśmy zgrani. To plus, nie próbuj jednak wyolbrzymiać tego.

- Lecz to jest wielkie! - Wiedziała, że za późno już na odwrót.

Jedyną jej nadzieją było przekonanie go.

- Kocham cię, nie widzisz? Ja nigdy... Nigdy nie zrobiłabym tego, gdybym nie...

- Co jest z tobą? - spytał chłodno, z jedną tylko iskrą gniewu w oczach. - Czy udając zakochaną, przestajesz się czuć jak prostytutka?

- Nie?! - Wytrzeszczyła oczy ze zdumienia. Poczwała mdłości. - To przecież nie tak!

- Powiedziałbym, że właśnie tak - stwierdził bezlitośnie. -

Zapłaciłem za ciebie, a ty zrobiłaś swoje. To nie była miłość,

kochanie. - Odwrócił się i wstał z łóżka. - To była potrzeba -

wyjaśnił i ruszył w stronę garderoby. Potem zadał jej ostatni cios.

- A może frustracja?

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Boże, spraw, by to był koszmary sen, pomyślała Serena otwierając oczy. Ale wiedziała, że to nie sen. Zmięta pościel świadczyła dobitnie o wydarzeniach ostatniej nocy. Gdyby miała jeszcze wątpliwości, zapach, którym przesiąknęły prześcieradła, intensywny zapach męczyzny, rozwiałyby je do reszty.

Nie będę o tym myślała, postanowiła okrywając się kołdrą.

Chciała wymazać tę noc z pamięci, zapomnieć o wszystkim z wyjątkiem ostatnich słów Johna i bólu, jaki jej zadały. Ten ból powinna zapamiętać do końca życia. Wykorzystał ją! Co gorsza, był przekonany, że to on jest stroną pokrzywdzoną.

Nie chciał jej miłości. Nie było na nią miejsca w tej parodii małżeństwa. Kochał się z nią, żeby udowodnić sobie i jej, że jest równie wyrachowana jak on.

Ich małżeństwo było układem handlowym. Rodzajem fuzji.

Chociaż nie, fuzja dopuszcza możliwość partnerstwa, a taka myśl nigdy nie zrodziła się w głowie jej męża. John wierzył w siłę, a to wykluczało równość, a tym bardziej miłość.

Ostatniej nocy był taki moment, kiedy myślała, że łączy ich coś więcej. Teraz, w zimnym świetle poranka wydało jej się to po prostu śmieszne. Choć ciągle nie mogła uwierzyć, że coś, co budzi

tak cudowne uczucia, nie jest miłością. Ale to dowodziło tylko, jak mało jeszcze wiedziała.

Trudno ją było nazwać ekspertem w tej dziedzinie. Jej miłosne doświadczenia ograniczały się do ostatniej nocy i tamtego lipcowego wieczoru, który spędzili na wzgórzu. Tamten wieczór był inny, było w nim coś - szukała odpowiedniego słowa - coś lekkiego, jakaś radość i uniesienie...

- Nigdy nie ma ich tyle, ile bym chciał - powiedział John, kiedy usadowili się na szczycie wzgórz. Mogli stąd podziwiać pokaz sztucznych ogni, choć nie byli nim specjalnie zainteresowani.

Woleli patrzeć na siebie.

- Zawsze chcę więcej. Tyle, żeby wypełnić całe niebo.

- Jesteś zachłanny - powiedziała karcąco, pochłonięta studiowaniem jego profilu. - Nikt nie może mieć wszystkiego.

- Ja tak - powiedział z naciskiem, tłumiąc śmiech.

- Zawsze dostaję to, czego chcę.

- Zawsze? Nie wierzę. Prawie zawsze, to możliwe

- zgodziła się grzecznie. - Jesteś zdolnym człowiekiem.

- Tylko zdolnym? - zapytał z nadzieją.

-No cóż... - przechyliła głowę udając, że się namyśla. - Masz pewien urok.

- To nie urok, to taktyka postępowania. Załóżmy, że chcę ciebie. - Nagle jego dłonie znalazły się przy jej biodrach, tak że nie mogła się ruszyć - i już cię mam. Taktyka, moja mała.

- To nie taktyka - zaprotestowała, nadal traktując całą sprawę jako żart, chociaż nie było jej do śmiechu. Czuła zapach jego ciała, oddech Johna muskał jej włosy. - To brutalna przemoc.

- Brutalna przemoc? - zapytał z urażoną godnością. - Nawet cię nie dotknąłem.

- To prawda - przyznała bez tchu, pragnąc, by to natychmiast zrobił. - Ale mnie unieruchomiłeś - zauważyła z udanym spokojem. Spokój był ostatnią rzeczą, jaką czuła. Zdawało się jej, że balansuje na krawędzi przepaści.

- Jesteś pewna, że to przemoc? - zapytał chwytając zębami jej wargę. - Albo to? - przyciągnął ją do siebie.

- Bo chyba nie to? - dopytywał się sunąc palcem po jej nagim ramieniu. - Nie powiesz mi chyba, że to brutalna przemoc?

Nie powiedziała. Uczucia, które budził w niej dotyk jego rąk, unicestwiły ją całkowicie. Nie była w stanie nie tylko mówić, ale nawet myśleć...

Kochał się wtedy ze mną, nie tylko uprawiał seks, stwierdziła Serena tego zimnego październikowego poranka. A może ją uwiódł? W jego zachowaniu nie było nic agresywnego, ani na chwilę nie stracił panowania nad sytuacją, ani nad nią.

- Piękna... Nieprawdopodobnie piękna - usłyszała jego szept i dopiero wtedy uświadomiła sobie, że zdjął jej sukienkę i wszystko, co miała pod nią.

- Nie, nie, kochanie - chwycił jej dłonie, którymi próbowała się zasłonić. - Tak przyjemnie patrzeć na ciebie, moja słodka purytanko. Nie musisz się wstydzić.

- Nie jestem purytanką - zaprotestowała bez przekonania. Nie wstydziała się. Uwolnił jej ręce, a ona leżała posłusznie pod jego palącym spojrzeniem.

- Jestem pielgrzymem od siedmiu pokoleń - wyjaśniła. Woląca mówić, aby nie myśleć o tym, co się dzieje.

- Purytanie byli okropnie przyzwoici, pełni zahamowań, nie tak jak pielgrzymi... Niektórzy pielgrzymi byli bardzo rozpustni...



- Doprawdy? - zapytał. - A ty jaka jesteś? - Przyciągnął ją do siebie. - Bardzo jestem ciekaw. - Zbliżył usta do jej piersi. Zaśmiał się cicho, kiedy wyprężyła się pod dotknięciem jego warg. - Bardzo dobrze, mój rozpustny pielgrzymie.

Zgasły ostatnie fajerwerki i otoczyła ich mroczna cisza przerywana tylko jej przyśpieszonym, urywanym oddechem i cichym śmiechem Johna, kiedy udało mu się odnaleźć jakieś wrażliwsze miejsce jej ciała.

- Sereno... Nie ma już teraz odwrotu - usłyszała jego zdyszany szept.

To podziałało na nią jak kubeł zimnej wody. Nagle zrozumiała, co się dzieje.

- Nie! Nie mogę! - powiedziała.

Ależ on się musiał śmiać, myślała, siedząc teraz samotnie w łóżku, otulona prześcieradłem. Zachowała się jak klasyczna dziewczica w opałach. Musiał konać ze śmiechu, patrząc, jak w panice szuka w trawie swoich rzeczy.

Rzecz jasna, nie zdradził się ze swymi myślami.

- Sereno, kochanie, wszystko w porządku! - jego głos był pełen zrozumienia. - Nie musimy tego robić. Jeszcze nie teraz. O Boże,

nie miałem zamiaru... To wszystko jest dla ciebie zbyt nowe, prawda?

Skinęła głową, bojąc się odezwać. Łzy napłynęły jej do oczu. Żeby chociaż nie był taki miły! Czułaby się o wiele lepiej, gdyby był wściekły; już niejednego doprowadziła do pasji kładąc kres zalotom. Wiedziała, jak sobie z tym radzić. Chociaż musiała przyznać, że jeszcze nikomu nie dała tylu powodów do gniewu, co Johnowi Bourque.

Wiedziała dość o męskiej naturze, by zdawać sobie sprawę z własnej lekkomyślności. Sytuacja wymknęła jej się spod kontroli. John wykazał niebywałą siłę charakteru. Zasłużyła na jego gniew i zniosłaby go lepiej niż to czułe zrozumienie.

Wczorajsza noc była zupełnie inna, pomyślała i na to wspomnienie ogarnęła ją nowa fala wściekłości. Nie grała już roli przerażonej dziewczycy. Była chętna, prawdę mówiąc, bardziej niż chętna. Była zachłanna. Chciała wierzyć, że łączy ich miłość. Nie ukrywała tego. Ale John pozbawił ją ostatnich złudzeń, podeptał jej uczucia. Całe szczęście, że nie uwierzył w jej wyznania, odetchnęła z ulgą. Ocaliła przynajmniej swą dumę, chociaż nie o to jej chodziło. Potrzebowała miłości, nie dumy.

- Och, przepraszam...

Serena podskoczyła jak dźgnięta nożem i utkwiała osłupiały wzrok w stojącej przed nią kobiecie.

- Nie wiedziałam... - Pani Hutchins gapiła się na nią z tępym wyrazem twarzy. - Sądziłam, że pani już wyszła.

- Nie. To znaczy...

O Boże! Profesor Brandenson już od paru godzin pracował na pełnych obrotach. A ona nawet nie pomyślała o tym, by pójść na uczelnię. Nie obchodziło jej to. Po dzisiejszej nocy!

- Zostaję w domu. Źle się czuję.

- W takim razie wolałaby pani zapewne... - pani Hutchins rozejrzała się po pokoju i jej twarz zmieniała się w kamienną maskę - ...abym sprzątnęła później. Czy może woli pani teraz?

-Nie, nie, prosiłabym tylko... - dopiero teraz zrozumiała, co wstrząsnęło panią Hutchins - ...o kawę... - wykrztusiła, łudząc się nadzieją, że jej zmieszanie nie jest widoczne. - Czarną! - zawołała, kiedy gospodyni szła już w stronę drzwi, równie szczęśliwa, że może wyjść, jak. Serena, że może się jej pozbyć.

Ciekawe, co też ona sobie pomyślała, zastanawiała się Serena.

Bielizna jej i Johna poniewierała się po podłodze. Między nią

olśniewająco błyszczał złoty łańcuch. Wygląda to jak po jakiejś orgietce, jakby nie chcieli zmarnować ani sekundy. Cud, że biedna kobieta potrafiła ukryć wrażenie wywołane tym widokiem. Po tych wszystkich, Bóg wie ilu godzinach spędzonych na porządkowaniu garderoby Sereny! A teraz zawartość szaf leżała porozrzucana wokół łóżka.

Nie waż się brać za sprzątanie, Serena pouczyła samą siebie. Była zła, że w ogóle przyszło jej to go głowy. Zresztą gdyby nawet chciała coś z tym zrobić, było już za późno.

- Czy życzy pani sobie coś jeszcze? - zapytała gospodyni, stawiając tacę na nocnym stoliku. - Śniadanie?

-Nie, dziękuję - odparła Serena niedbale, co kosztowało ją trochę wysiłku. - To wszystko.

- No, to wracam do pracy. Chciałabym tylko wiedzieć - powiedziała, starannie omijając wzrokiem okolice łóżka - czy pani siostra wyjechała już na dobre?

- Cynthia? - zapytała Serena głupio, jakby miała pół tuzina sióstr upchanych po kątach niewielkiego domu. -Nie ma jej w pokoju? Zazwyczaj śpi do późna.

- Pokój jest pusty. - Gospośia zachowała kamienny wyraz twarzy, jedynie jej oczy płonęły ciekawością. - Wczoraj rzeczywiście wstała późno, ale kiedy dzisiaj przyszedłam, już jej nie było i nie wydaje mi się, żeby zostawiła jakieś rzeczy. Ale pomyślałam sobie, że może wróci.

- Nie mam pojęcia - odparła Serena chłodno, udając, że nie rozumie, o co naprawdę pyta gospośia. „Skoro twoja siostra wyjechała, czy ty wrócisz do gościnnego pokoju?”, brzmiało pytanie, ale Serena wzdragła się przed udzieleniem odpowiedzi.

- Nie mówiła mi o swoich planach. Może pan Bourque będzie wiedział. Zapytam go, kiedy wróci do domu.

- Czy mogę posprzątać jej pokój?

- Niech pani to zrobi - Serena odwróciła się w stronę stolika z kawą, dając pani Hutchins do zrozumienia, że rozmowa skończona. Gospodyni wyszła, ale Serenie nie dane było pograć się w czarnych myślach. Tym razem przeszkodziła jej Lillian.

- Nie, nie, proszę się nie fatygować! Pójdę na górę - usłyszała jej głos - potem lekkie kroki na schodach i energiczne pukanie do drzwi.

- Chwileczkę! - Serena miała tylko tyle czasu, by wyplątać się z prześcieradła i złapać szlafrok. Rzeczy jej i Johna, przekłete świadectwo ostatniej nocy, musiały pozostać na podłodze.

- Proszę!

Do pokoju wśliznęła się Lillian, jak zwykle elegancko ubrana.

Szara tweedowa spódnica, żakiet zarzucony na srebrzystą bluzkę, idealnie dobrana biżuteria, starannie uczesane włosy - obraz doskonałości i spokoju. Tylko zmarszczka na czole i napięte mięśnie twarzy sugerowały, że coś jest nie w porządku.

- Sereno, nie rozumiem! - zaczęła, przechodząc od razu do rzeczy.

- Pani Hutchins mówi, że Cynthii tu nie ma.

-Tak... - Serena nie pamiętała Lillian w takim stanie.

- Muszę ją zatrzymać, zanim zrobi jakieś głupstwo! Sereno, gdzie ona jest?!

-Nie wiem - odpowiedź nie mogła zadowolić Lillian. Wyraz napięcia na jej twarzy jeszcze się pogłębił.

- Musisz wiedzieć! Zabierasz ją do siebie, namawiasz do tego... do tego buntu, a teraz mówisz, że nie wiesz, gdzie ona jest? - Lillian podniosła głos, potem wzięła głęboki oddech i odzyskała

panowanie nad sobą. - Sereno, nie możesz w ten sposób bawić się jej przyszłością. Nie rozumiem, dlaczego...

- To nie ja - Serena usiadła na brzegu łóżka. - To pomysł Johna.

- Johna? - powtórzyła Lillian z niedowierzaniem. - A co on ma wspólnego z Cynthia?

Więcej niż myślisz, miała ochotę powiedzieć Serena, ale oparła się pokusie. Nie chciała dyskutować o swoich podejrzeniach ani o tym, co powiedziała jej Cynthia. Miała przecież absolutną pewność, że ostatniej nocy nic między nimi nie zaszło.

- Kiedy kazaliście jej wracać do Houston, przyszła porozmawiać z Johnem. - Postanowiła trzymać się faktów. - I John zaprosił ją do nas na jakiś czas.

- Ale dlaczego? - Głos Lillian balansował na granicy załamania. - Dlaczego on się w to miesza?

- Nie wiem - Serena wzruszyła ramionami. - Twierdzi, że chce uchronić Cynthię przed zrobieniem głupstwa.

- Więc powinien powiedzieć jej, żeby wróciła do męża - warknęła Lillian. - Powinien ją do tego zmusić!

- Nie sądzę, żeby to było mądre posunięcie - zaczęła Serena ostrożnie. - Nie dałaby się zmusić do niczego!

- Oczywiście, że nie! - parsknęła Lillian. - Miała tu święte życie. Przyjęcia, całkowita swoboda! Po diabła miałyby to wszystko zostawić?! Prawdopodobnie pogrzebała już szanse na utrzymanie swego małżeństwa.

- John stara się jej to wytłumaczyć... - wtrąciła Serena.

- John! - rzuciła Lillian szyderczo. Zaczęła nerwowo spacerować wokół łóżka i zaplątała się najpierw w halkę Sereny, potem w koszulę Johna. -I co wynikło z tego tłumaczenia? - zapytała oskarżycielsko, omijając kolejne części garderoby. - On ma to w nosie, Sereno! Doprawdy, nie rozumiem, jak mogłaś pozwolić, żeby się wtrącał?

- Nie było mnie w domu. Wróciłam już po fakcie.

- Potem też nie mogłaś nic zrobić? - Oczy Lillian rzucały błyskawice.

- Nie mogłam - odparowała, dotknięta niesprawiedliwym zarzutem. - Moje stosunki z Johnem nie są tego rodzaju, żebym mogła nakazać mu cokolwiek. Może o tym zapomniałaś, ale nasze małżeństwo nie należy do najnormalniejszych w świecie.

- Nie? - Brwi Lillian powędrowały w górę. Trąciła czubkiem szarego pantofelka najpierw halczkę Sereny, potem koszulę



Johna. - Powiedziałabym, że jest w miarę normalne. Może mniej konwencjonalne niż większość znanych mi małżeństw, ale z pewnością intymne.

-I co mi po tym? - Serena próbowała ukryć rozgoryczenie, ale wspomnienie ostatniej nocy było jeszcze zbyt bolesne. - To mi nie daje żadnych praw.

- Nie? - zatroskała się nagle Lillian. Zapomniała nawet na chwilę o Cynthii. - Zresztą nie o prawa tu chodzi... - Przysunęła sobie bujany fotel i usiadła naprzeciwko Sereny. - Moja droga, jeszcze się tego nie nauczyłaś? Intymne współzycie z mężem daje pewne... możliwości. Jako żona możesz niektóre sprawy przeforsować po..., kiedy mąż jest bardziej... podatny na perswazje. Czy muszę mówić jaśniej?

- Nie. Ale nasze współzycie wygląda trochę inaczej - odparła Serena krótko. - Nie jestem jego żoną, jestem własnością. Kupił moje nazwisko, wzenił się w starą, bostońską rodzinę, zapłacił za moje...

- Sereno! - stanowczy głos Lillian przerwał tę nieszczęsną wyliczankę. - Nie możesz wypominać mu tego do końca życia!

- John nie daje mi większego wyboru. To on jest stroną wypominającą. Gdyby tylko... - głos jej zadrżał - gdyby tylko tatuś tego nie zrobił!

-Moja droga, na pewno nie chciał, by sprawy przybrały taki obrót, ale nie miał innego wyjścia... -John mówi, że to nie wyglądało aż tak źle - zaprotestowała Serena. - Ze nie poszedłby do więzienia. Mógł najwyżej stracić dobrą opinię.

- No, chodziło o coś więcej. Twój ojciec inwestował nie tylko swoje pieniądze. Była w to zaangażowana masa ludzi.

- Przyjaciele i konto bankowe było dla niego ważniejsze niż własna córka? - zapytała z goryczą. - To dlatego siedzę w tym bagnie?

-Jeżeli rzeczywiście tak jest, to siedzisz w nim z własnego wyboru - odparła Lillian bezlitośnie.

- Chciałaś wyjść za Johna. Byłaś głucha na wszelkie perswazje.

- Za to teraz, kiedy tatuś ubił już interes, cała sprawa przestała go interesować!

- Oczywiście, że nie! Zawsze mu na tobie zależało!

- Okazał mi to w dość dziwny sposób! Nie chciał nawet słyszeć o małżeństwie, dopóki nie przekonał się, że zrobi na nim interes.

Lii, doskonale wiesz co mówił: że za szybko, że John nie jest dla mnie odpowiednim człowiekiem, że nie jest godzien zaufania...

Był wściekły. Nigdy przedtem nie widziałam go w takim stanie.

-Ale to nie było... - Lillian przygryzła wargę. - Och, spróbuj zrozumieć...

- Rozumiem tylko, że tkwię w tym małżeńskim bagnie po uszy i nigdy nie będę szczęśliwa. John mi na to nie pozwoli. - Serena umilkła, patrząc na szeroką, ciężącą jej na palcu obrączkę. Wzięła głęboki oddech.

- A gdybym się rozwiodła? - zapytała.

- Nie zrobisz tego! - odparła Lillian ostro. - Nie możesz!

- Dlaczego?

-Ponieważ... - Lillian potrząsnęła głową, jakby nie wiedziała, od czego zacząć. - Po pierwsze, sprawa pieniędzy. John zażądałby ich zwrotu, a wszystkie poszły już na spłacenie długów. Ojciec nie jest w stanie zebrać takiej sumy.

- A jeżeli sama spłacę Johna? - przerwała Serena. Jej umysł pracował ze wzmożoną jasnością. Wszystkie jej myśli skupiały się wokół jednego celu. - Za parę lat będę miała prawo do majątku

matki. Mogłabym pożyczyć na to konto albo poczekać, jeżeli pożyczka okaże się niemożliwa.

- Nie wiem - Lillian rozłożyła bezradnie ręce - ile ten majątek jest wart. Poza tym ojciec ci na to nie pozwoli. A zresztą pieniądze nie są tu wcale prawdziwym problemem. Prawdziwym, problemem jest John, to, co by opowiadał, co by zrobił. On o wszystkim wie, Sereno! Nie chciał o niczym rozmawiać, dopóki ojciec nie powiedział mu dokładnie, na co potrzebuje tych pieniędzy. A ojciec, no cóż, uważał, że musi być z Johnem zupełnie szczery.

- Z Johnem tak, ale nie ze mną! - zauważyła zimno.

- Miał nadzieję, że się nie dowiesz. Osoba Johna budziła pewne zastrzeżenia i sądził, że taki kontrakt coś pomoże.

- Pomoże? - zawołała Serena. - Myślał, że mi pomoże, jeżeli mnie sprzeda?

- Myślał, że będzie lepiej, jeśli sprawy zostaną potraktowane handlowo. Sądził, że John będzie wtedy dla ciebie dobry... żeby chronić swoją inwestycję... żeby...

- Nie! - Serena zerwała się z łóżka i podeszła do okna. - Nie chcę nic więcej wiedzieć. Jeżeli tata naprawdę myślał, że mnie... zrobić ze mnie zabezpieczenie inwestycji!... Potrzebowałam go raz w

życiu - powiedziała tępo. Ból jeszcze nie nadszedł. W tej chwili czuła jedynie samotność i pustkę. -I gdzie on wtedy był? Ubijał interes, sprzedawał mnie po najwyższej możliwej cenie.

- To nieprawda, Sereno! - zaprotestowała Lillian z całym przekonaniem, na jakie ją było stać. - Ojciec zawsze, zawsze cię wspierał! Nie możesz wiedzieć... nie rozumiesz!

- Ależ tak! - głos Sereny brzmiał niemal łagodnie.

- Wiem, że nie muszę już tkwić w tym małżeństwie. Mogę się rozwieść. Nie muszę już osłaniać jego plugawych tajemnic, nie po tym, jak przez całe życie udawał, że mnie kocha!

- Udawał? Być może - głos Lillian łamał się z napięcia. — Być może, ale na pewno nie miłość do ciebie. Kochał cię tak bardzo przez te wszystkie lata, że był gotów udawać, że jesteś jego córką.

- Jego córką? - powtórzyła Serena pytająco. Odwróciła się do okna, aby spojrzeć w twarz macosze.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Że nie jesteś jego córką! Twoja matka... zawsze miała kogoś innego. Niemal od początku.

- Kogo? - zapytała twardo, czepiając się jedynej myśli, która wydała jej się rzeczywista w tym nowym, obcym świecie.

Lillian potrząsnęła głową.

- Było ich wielu. Jeden po drugim. Twój ojciec... - umilkła zażenowana. - Na początku starał się dowiedzieć, kto. Potem przestał się tym interesować... Z nią było coś nie w porządku, Sereno. Twój ojciec twierdzi, że miała jakieś problemy w okresie dojrzewania. Jej rodzice nie byli ludźmi uczuciowymi. Nie mogła nad tym zapanować. Musiała ciągle szukać miłości.

- Ale... - Serena próbowała zebrać myśli. Najdziwniejsze było to, że wierzyła Lillian. Nie dlatego, żeby miała po temu jakiś konkretny powód, po prostu wiedziała, że Lillian nie kłamie. Niepewność, z jaką mówiła, nie wynikała z konieczności obmyślenia kolejnych kłamstw. Była rezultatem zażenowania i walki między niechęcią do zdradzania tajemnic męża a pragnieniem ujawnienia całej prawdy. - Wiec dlaczego się z nią nie rozwiódł?

- Mógł, oczywiście, nie kochali się już od dawna, ale był dla niej czymś w rodzaju ostatniej deski ratunku. Kimś, do kogo mogła wracać po kolejnych klęskach. Uważał, że nie może jej opuścić, była tak strasznie nieszczęśliwa. Czuł się odpowiedzialny za nią i za ciebie, kiedy już się urodziłaś.

- Ale skoro jej nie opuścił - zaczęła Serena, próbując rozwikłać plątaninę, jaką stało się nagle jej życie - to skąd mogła wiedzieć, że nie jestem... jego dzieckiem?

-Ponieważ... Och, Sereno! Tak trudno o tym mówić! Spotkał mnie i... no cóż, nie rozwiódł się z twoją matką, ale pozostał wierny mnie. Nie ma takiej możliwości, żebyś była... Ale to nie zmienia faktu, że cię kochał. Od samego początku. Chciał być twoim ojcem, pragnął tego całym sercem.

-To dlaczego mi powiedziałaś... dlatego nie mogę... - Serena przymknęła oczy, żeby choć na chwilę uciec od rzeczywistości.

- Nie mogę, prawda? - ciągnęła otwierając znowu oczy. Ale nie patrzyła na macochę. Patrzyła gdzieś poza nią, w samotną przeszłość. - Nie mogę rozwieść się z Johnem, nie mogę ryzykować ze względu na... ojca.

- Mam nadzieję, że tego nie zrobisz. - Głos Lillian był beznamiętny. Serena zrozumiała, że macocha nie chce naciskać. - Ale nie muszę ci mówić, że to by go zraniło.

-Bardzo bym go... rozczarowała. Gdybym nie chciała chronić go tak, jak on chronił mnie przez te wszystkie lata.

- Chyba tak - zgodziła się Lillian. - Ale i tak powiedziałam za dużo.

- Nie, powiedziałaś tyle, ile trzeba - Serena zdobyła się na uśmiech. - Wiem teraz, czego nie mogę zrobić. A raczej, co powinnam zrobić - poprawiła się. - Muszę uratować to małżeństwo, a przynajmniej spróbować.

- Jestem przekonana, że ci się to uda - Lillian zlustrowała wzrokiem porozrzucaną bieliznę. W kącikach jej ust zadrżał uśmiech. - Pragniecie się i to chyba dość... spontanicznie. Nieźle, jak na początek.

Serena potrząsnęła głową.

- Nie sądzę. John ma o nas jak najgorsze zdanie. I nie należy do tych, którzy łatwo zapominają.

- To tylko duma - stwierdziła Lillian z niezachwianą pewnością siebie. - Człowiek, który decyduje się na karierę w takim mieście, jak Boston, musi być przygotowany na pewne przykrości. Układ z twoim ojcem wydaje mu się największą z nich. Sądzę jednak, że z czasem zmięknie.

- Być może - zgodziła się Serena bez przekonania. Nie było sensu się spierać. Wiedziała, że John nie zmięknie. Żaden z jego domów



nie zadrżał w posadach, a jego duma była zbudowana na równie silnych podstawach, co wieżowce. Nie, John nie zmięknie, może tylko stwardnieć na kamień.

Istnieje pewne, bardzo dosadne, słowo na określenie tego, czym jestem, myślała Serena po wyjściu Lillian. Cała ta historia wydała jej się nierealna. Teoretycznie była w stanie zaakceptować fakt, że nie jest córką Teda Winslowa, uczuciowo jednak nie była na to przygotowana. Nadal czuła, że jest jego dzieckiem i nic nie mogło tego zmienić. Przecież zawsze uważał ją za swoją córkę i akceptował z wszystkimi tego konsekwencjami. Co za ironia losu! Ona, która nigdy nie dbała o zachowanie pozorów, przez całe lata żyła otoczona fikcją i czerpała z tego korzyści. Nie była Sereną Winslow Wright, nazwaną tak, o zgrozo, po babce. Była... Bóg wie kim! Mogła o sobie powiedzieć tylko tyle, że jest owocem miłości matki i jakiegoś nieznanego mężczyzny, że jest bękartem. Ale na tym nie koniec. John kupił Serenę Winslow Wright - kobietę, która nie istniała! Zapłacił za pokrewieństwo z najlepszą rodziną Bostonu, a dostał ją! No, była jeszcze jej matka. Ale nazwisko matki nie należało do imponujących. Tiptonowie byli skoligaceni z bostońską arystokracją, ale te koligacje nie budziły

niczyjego entuzjazmu. Wyżyny społeczne, do których tak rozpaczliwie dążył John, należały niepodzielnie do Winslowów i Wrightów. Ona nie była ani jednym, ani drugim.

Chciała rozwieść się z Johnem, teraz okazało się, że to on może rozwieść się z nią. I pewnie to zrobi, kiedy powie mu prawdę.

Wiedziała jednak, że nic mu nie powie. Była w pułapce, nie mogła zdradzić człowieka, którego zawsze uważała za swojego ojca. Strzegł tajemnicy jej pochodzenia, kochał ją bez zastrzeżeń, dał jej dom i złudzenie rodzinnego życia. Tylko raz, owego lipcowego wieczoru, rozgniewał się na nią naprawdę. Wtedy nie wiedziała dlaczego, teraz - dzięki Lillian - Serena zrozumiała przyczynę jego niezwykle ostrej reakcji.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Dla Sereny i Johna koniec świata nastąpił zupełnie niespodziewanie. Szli ręką w rękę w stronę domu, otuleni mrokiem przedświt, kiedy w drzwiach stanął Ted Wright.  
- Gdzie ty, do diabła, byłaś! - wybuchnął.

Jak znieważony ojciec ze złego melodramatu, pomyślała Serena tłumiąc śmiech.

- Kim jest ten facet? Chyba nie kolegą, o którym nam opowiadałaś. Kłamałaś, tak? - spytał z gniewem.

Serena straciła ochotę do śmiechu. Zrozumiała natychmiast, że czeka ją nieprzyjemna scena, którą w dodatku sama sprowokowała, ukrywając przed rodzicami istnienie Johna.

To była nie przemyślana decyzja. Lillian wyraziła się źle o panu Bourque i Serena wolała odłożyć swoje rewelacje na później.

Jeżeli znajomość z Johnem przekształci się w coś poważniejszego, będzie miała dość czasu, by przełamać niechęć rodziny. Dopiero wtedy pozwoli Johnowi stanąć przed obliczem Teda Wrighta.

Tymczasem robiła, co mogła, by zaspokoić ciekawość rodziny zaintrygowanej nagłym rozkwitem jej życia towarzyskiego. Nie było to łatwe. W końcu wymyśliła kolegę z uczelni i opowiadała rozmaite historie na jego temat. Dla Johna opracowała całą serię wymówek, po części zupełnie absurdalnych, które miały trzymać go z dala od jej rodzinnego domu.

System działał bezbłędnie przez dwa tygodnie i nie miała powodu przypuszczać, że nie będzie funkcjonował nadal. Nawet

dzisiaj, kiedy złamała podstawową zasadę bezpieczeństwa i pozwoliła Johnowi, by odprowadził ją do domu.

Czemu by nie, pomyślała, kiedy poprosił o to. Propozycja była rozsądna. Serena poszła do niego przez pola, kiedy przyjęcie Lillian było już w toku, i musiałyby wracać tą samą drogą. John nie chciał puścić jej samej. O czwartej nad ranem tata i Lillian powinni spać jak zabici. No cóż, nie spali i sądząc po wyrazie twarzy ojca, jej niewinna intryga właśnie wyszła na jaw.

- Jak ci nie wstyd! - ojciec mierzył ją piorunującym wzrokiem. - Wymykasz się z przyjęcia nie mówiąc nikomu ani słowa, wracasz rano...

- Jeszcze jest noc - przerwała szybko i natychmiast tego pożałowała.

- Noc!... Jakby to miało jakieś znaczenie! Nigdy nie myślałem, że doczekam dnia, w którym będę wstydział się za swoją córkę.

Zachowujesz się jak ostatnia...!

- To nieprawda - powiedział John spokojnie, ale w jego głosie zabrzmiała ostra nuta. - Wydaje mi się, że pan przesadza.

- A kim pan do cholery, jest, żeby mówić mi, czy przesadzam, czy nie?

- John Bourque, sir - John wyciągnął rękę. - Mogę wszystko wyjaśnić.

-Wątpię - warknął Ted Wright, ignorując gest Johna. - A więc to pan jest Bourque? - przyglądał się młodemu człowiekowi wzrokiem pełnym odrazy. - Może pan już odejść. To sprawa rodzinna, załatwię ją ze swoją córką! - złapał Serene za ramię i popchnął w stronę domu. - Położę kres takim wyprawom i to z tego rodzaju człowiekiem!

Atak na Johna był dla niej wyzwaniem.

- Co to znaczy „tego rodzaju” - zażądała wyjaśnień. Zatrzymała się tuż za drzwiami, gotowa do walki. -Nie wiesz...

- Wiem, że zamiary tego pana nie są uczciwe - zmusił ją, by szła dalej. Uwolnił jej ramię dopiero, gdy znaleźli się w salonie.

Przymknęła na chwilę oślepienie światłem oczy. Kiedy je znów otworzyła, ojciec dołączył już do Lillian. Stali oboje przy kominku, on czerwony z wściekłości, ona pełna niepokoju.

- Moja droga, jak mogłaś! - powiedziała Lillian z wyrzutem. -I to z tym okropnym człowiekiem...

- On nie jest okropny - warknęła Serena. - To, że go nie lubisz, nie oznacza, że...

- Moje sympatie i antypatie nie mają tu nic do rzeczy - Lillian starała się zachować spokój. - Ale mam prawo do wyrażenia dezaprobaty. Nie możesz, nie po tym, jak on cię...

- Uwiódł - krzyknął Ted Wright, nie dając jej skończyć.

- To nieprawda, panie Wright.

Serena zobaczyła, jak głowy rodziców obracają się w stronę okna.

Miała wrażenie, że ogląda film w zwolnionym tempie.

- A pan co tu, do diabła, robi? - zawołał ojciec.

- Nikt pana nie zapraszał.

- Wiem, ale mam wrażenie, że powinienem tu być - odparł John spokojnie. Jedyny normalny w tym pokoju, pomyślała Serena z ulgą. - Sprawa dotyczy w tym samym stopniu mnie, co Sereny.

- O tak, to by było panu na rękę, nieprawdaż? - zapytał ojciec szorstko. - Do tego pan dążył, uwodząc ją.

- Nie - John zrobił nieznaczny gest dłonią, uznając kwestię uwiedzenia za niegodną uwagi. - Chcę się z nią ożenić.

- Ożenić! - wrzasnął ojciec. - Nie może się pan z nią ożenić! Kim pan, u licha, jest, żeby żenić się z moją córką?!

- Kocham ją - John nie tracił spokoju. - I mam powody przypuszczać, że ona mnie także kocha.

- Pan przypuszcza... Jestem pewien, że zdążył jej pan to wmówić. Ale ja na to nie pozwolę! Pan wykorzystuje jej słabość!

Jaką słabość. Serena była oszołomiona. Cała ta scena zakrawała na absurd. Oświadczyły Johna w sytuacji, kiedy nie była nawet pewna, czy chce się z nią dalej spotykać, reakcja ojca... Zadrzała. Nie była przyzwyczajona do awantur. Wyrosła w domu, w którym nikt nie podnosił głosu. Cynthia miewała napady złego humoru, Lillian od czasu do czasu traciła cierpliwość i coś burknęła, ale to wszystko. Jej ukochany tatuś nigdy nie wpadał w gniew, nigdy nie mówił rzeczy przykrych, nie krzyczał. A teraz nagle ten spokojny, zrównoważony człowiek zmienił się w rozwścieczonego tyrana!

-Tatusiu, proszę! - zaczęła. - To nie tak, jak mówisz. Ja go kocham.

- Tak ci się tylko wydaje! - wybuchnął. - Nic już nie wiesz, nie rozumiesz! Ten facet doprowadził cię do takiego stanu, że nie potrafisz już myśleć!

- Ależ potrafię!

- Nonsens! Widzę, jak spędziłaś noc. Popatrz tylko na siebie! - warknął, obrzucając ją wzrokiem pełnym odrazy.

Odruchowo spojrzała w lustro nad kominkiem. Wyglądała rzeczywiście nieco swawolnie, musiała to przyznać z rumieńcem wstydu. Miała potargane włosy, na sukience plamy z trawy i - co najgorsze - odpięte górne trzy guziki.

- Otóż właśnie - odezwał się ojciec po dłuższej chwili. -

Nieciekawy widok, prawda? Co ten facet z tobą zrobił?...

-Ja... - przełknęła ślinę, czuła, jak strach ściska ją za gardło.

Rzuciła Johnowi szybkie, rozpaczliwe spojrzenie, ale było jasne, że ukochany nie ma zamiaru przyjść jej z pomocą. Stał w zupełnym bezruchu i patrzył na nią płonąącym wzrokiem. Na co czeka? Chyba nie spodziewał się, że ona sama to załatwi?

- Tatusiu - zaczęła znowu, wyłamując palce. Walczyła rozpaczliwie o zachowanie spokoju, ale ta walka przerastała jej siły.

-Tatusiu, to nie ma znaczenia... John i ja... Kochamy się i jeżeli on tego chce, to wyjdę za niego.

- Po moim trupie! - ryknął. - Jeżeli poddasz się tej... tej słabości, przestaniesz być moją córką!



- Ależ, Ted - Lillian wyciągnęła ku niemu dłoń. - Nie mówisz tego serio?

- Owszem, tak - odparł sucho. Ojciec mówiący tym tonem do Lillian?! Serena patrzyła w osłupieniu, jak Ted strąca rękę żony ze swego ramienia. - Nie wtrącaj się!

To było straszne, przerażające. Ojciec stracił panowanie nad sobą! Z przyczyn zupełnie dla niej niezrozumiałych. Jedno było pewne: dzisiejsza noc nie przyniesie rozwiązania. Będą musieli poczekać, aż ojciec odzyska zmysły.

- John - zwróciła się do Bourque'a. - Daj mi... nie wiem... Parę dni. Muszę pomyśleć - grała na zwłokę.

- Sereno, to nie jest konieczne - odparł, obrzucając ją palącym spojrzeniem. - Możesz iść ze mną. Zaraz.

- Nie - potrząsnęła głową, ignorując jego wyciągniętą dłoń.

- Nie chcę, żeby to tak było. Potrzebuję tylko trochę czasu. Proszę. Czekala, błagając go wzrokiem o zrozumienie. Wokół niej panowała teraz zupełna cisza. Wszyscy czekali na to, co powie John.

- Dobrze - odezwał się w końcu. Jeżeli tego chcesz. Wiesz, gdzie mnie szukać, gdybyś mnie potrzebowała.

Tamta scena miała sens, myślała Serena siedząc na łóżku Johna. Gniew ojca, niezrozumiałe uwagi o jej słabości... Bał się, że odziedziczyła upodobania po matce. I nie ma mu się co dziwić, biorąc pod uwagę splot wydarzeń, którego ofiarą padła Serena. Ukrywała istnienie Johna, tak jak matka swoich kochanków. Ponadto ojciec odkrył jej tajemnicę akurat wtedy, kiedy Serena wyglądała dokładnie tak, jak musiała wyglądać jej matka po powrocie z miłosnej schadzki.

Ojciec sądził zapewne, że przeszłość wraca, by go dręczyć. Tego poranka wcale nie myślał o córce, ale o jej matce. Kiedyś musiał ją bardzo kochać, nawet jeżeli ta miłość szybko zgasła. I nieraz czekał na nią z taką samą rozpaczą w sercu, z jaką tamtej lipcowej nocy czekał na Serene.

To, że przez dwadzieścia pięć lat była dobrą córką, nie miało żadnego znaczenia. Nieważne, że zawsze była posłuszna, że jej nieliczne kontakty z mężczyznami były niewinne, a nawet - mówiąc szczerze - bezpłciowe. Serena była przekonana, że tamtej nocy ojciec utracił poczucie rzeczywistości i pomylił ją ze swoją żoną.

I nic nie wskazywało na to, by miał się otrząsnąć ze swoich przywidzeń. Przez tydzień Serena próbowała rozmawiać z nim o Johnie, kiedy ojciec był w dobrym humorze. Wszystko na nic. Ted Wright ogłuchł na wszelkie perswazje. Zamknął się we własnym świecie i rozpamiętywał dawne klęski.

Teraz, po wizycie Lillian, Serena zrozumiała, w jakim stanie ducha się znajdował. Ale wtedy wiedziała tylko, że sprawia mu zawód i nie może spodziewać się natychmiastowego przebaczenia... Jeżeli w ogóle może na to liczyć.

Musiał jej wybaczyć! Była przecież jego ulubienicą, tak jak Cynthia była ulubienicą Lillian. Jednak to, co uczyniła tamtej nocy, zdawało się uderzać w podstawy ich życia, niszczyło nie tylko jej stosunki z ojcem, ale także związek Teda z Lillian. Jak na kogoś, kto nazywał Johna „tym okropnym człowiekiem”, Lillian trwała przy boku Sereny z godnym podziwu uporem. Ale jej próby interwencji spotkały się z taką samą wrogością Teda, co usiłowania córki.

- To szaleństwo - podsumowała sytuację Serena, kiedy John zniecierpliwiony czekaniem, zjawił się u niej w domu podczas

nieobecności gospodarzy. - On nie chce mnie nawet słuchać - odwróciła głowę, żeby ukryć łzy.

- Sereno, kochanie - John przyciągnął ją do siebie. - On chce nas zniszczyć. Nie rozumiesz?

- Nie, na pewno nie - potrząsnęła głową. - To coś innego, jestem pewna. Gdybym tylko mogła do niego dotrzeć!

- Boję się, że możesz spędzić na tym resztę życia. On będzie zwlekał, straszył, robił sceny...

- O nie! - Serena odchyliła głowę, żeby spojrzeć mu w twarz. - On nigdy taki nie był. Nigdy nie wpadał w gniew! On uznaje argumenty i spokojne rozwiązywanie problemów. Kieruje się rozsądkiem. Dlatego właśnie wydaje mi się, że chodzi o coś innego.

- Oczywiście. O mnie! - W oczach Johna pojawił się gniewny błysk. - Nie apróbuj mnie. Nie jestem dość dobry dla jego małej dziewczynki.

- Nie mów tak! Nigdy! - zaprotestowała ostro. -To nieprawda. On taki nie jest! Wiem, że chodzi o coś innego, ale nie wiem o co!

- Czy to takie ważne?

- Oczywiście, że tak! To, co się teraz dzieje, jest straszne.

- Tak, straszne - zgodził się machinalnie, przytulając ją mocniej. - Kochanie, chcę żebyś była przy mnie... cały czas. Każdego dnia i każdej nocy - musnął wargami jej policzek. - Szaleję za tobą - dokończył zamykając jej usta pocałunkiem. Całował ją władczo, napastliwie, żądając całkowitego oddania.

Nie ma w tym pocałunku nic tkliwego, nic subtelnego, zdążyła jeszcze pomyśleć, nim ogarnęła ją fala namiętności. Tak jak tamtego wieczoru... Tylko John budzi we mnie takie uczucia... Tylko ty - szepnęła.

- Tylko ty - odpowiedział z leniwym uśmiechem.

- Jak dobrze się całować - zagarnął na chwilę ustami jej wargi. - Kochanie, nie pozwól, by to się skończyło.

- Nie mogłabym - wyznała i poczuła, że on się uśmiecha z ustami na jej ustach.

- Więc wyjdź za mnie - namawiał pieszczotliwie.

- Chodź ze mną... teraz. Zapomnij o ojcu.

- Nie mogę - szepnęła ze smutkiem, wysuwając się z jego ramion.

- Nie w ten sposób.

- Dlaczego nie? To takie proste...

- Może dla ciebie, ale nie dla mnie - rzuciła sucho.

I nagle ku zaskoczeniu ich obojga - wybuchnęła płaczem. Znowu przytulił ją do siebie, tym razem z czułością.

- Nie rozumiesz - mówiła z głową ukrytą na jego piersiach. -

Zawsze byliśmy dobrą rodziną, nigdy się nie kłóciliśmy i to, co się teraz dzieje, jest straszne. Kiedy Lillian próbuje mi pomóc, tata złości się na nią. Czuję się tak, jakbym zniszczyła wszystko.

- Sereno, niczego nie zniszczyłaś - powiedział John z naciskiem. - Zakochałaś się, chcesz założyć rodzinę. Nic w tym złego.

- Ale nie mogę po prostu wyjść z tego domu, nie oglądając się za siebie - głos jej drżał. - Muszę mu wytłumaczyć, nie może być na mnie taki zły... Proszę, John!

-Prosisz o więcej czasu? - zapytał z dziwnym wyrazem oczu.

Skinęła głową.

- Tylko troszeczkę.

- A jeżeli ci się nie uda?

-Uda się. Musi się udać. To nie może trwać wiecznie - obiecała.

- No cóż, czas pokaże, prawda? - zapytał zimno.

- Jak długo, kochanie? Tydzień?

- Chyba tak - powiedziała niepewnie...

Okazało się, że nie potrzeba mi było aż tyle czasu - wspominała Serena siedząc w łóżku. Ojciec wyraził zgodę już po paru dniach. Wystarczyło pójść do Teda Wrighta i zapytać o cenę jego córki, by zgodził się ją sprzedać.

Doszła do wniosku, że to właśnie tamta prośba o czas wywołała całą lawinę kłopotów. Reakcja ojca sama w sobie nie miałyby żadnych negatywnych skutków. To ona wszystko zepsuła. John nie rozumiał, jakie znaczenie miało dla niej uregulowanie spraw z ojcem. Nie dziwiła się. Nigdy nie miał licznej rodziny, a ta, którą miał, dawno wymarła.

Poprosiła o więcej czasu i to nasunęło mu pierwsze wątpliwości. Poszedł więc do ojca, żeby ją kupić. Ale skąd wpadł na pomysł, żeby ofiarować pieniądze? Może słyszał o kłopotach Wrighta? A może jest cynikiem, który uważa, że każdy człowiek ma swoją cenę?

Tak czy inaczej, rezultat był ten sam. Zaoferował pieniądze i ojciec skwapliwie je przyjął. Transakcja ta tylko umocniła podejrzenie Johna. Uznał, że ona i ojciec działali wspólnie, razem ułożyli sprytny plan i razem go wykonali. Nigdy nie uwierzy, że nie miała z tym nic wspólnego.

Czy miało to jakieś znaczenie? Czy chciałyby żyć z człowiekiem, który ją kupił, kupił jej nazwisko i pozycje społeczną? Czy w ogóle ją kochał, czy kiedykolwiek była dla niego czymś więcej niż szczeblem do kariery? Czy coś może się zmienić...?

Dość tego - powiedziała. Wszystkie te pytania zadawała sobie już wiele razy. Być może nigdy nie uzyska na nie odpowiedzi. Skuliła się w łóżku Johna i pograżyła w depresji. Była w pułapce. Nie miała wyboru, musiała żyć z tym człowiekiem. Musiała tkwić w małżeństwie, w którym nie było ani miłości, ani zrozumienia. Nie spodziewała się, że zaśnie, i zaskoczył ją widok pokoju, tonącego w mroku. Pozbierała rzeczy z podłogi i zaniósła do garderoby. Otworzyła szafę Johna i patrzyła na garnitury, krawaty, starannie poskładane koszule, szczotki z monogramem. Chciała znaleźć jakiś punkt zaczepienia, dowiedzieć się czegoś o nim, o jego sposobie myślenia, o tym, jaki naprawdę jest. Ale rzeczy Johna były bezosobowe, nie mówiły nic o jego psychice. Wskazywały tylko na to, że chodzi własnymi drogami, starannie zacierając za sobą ślady.

A to żadna nowość, pomyślała, idąc w stronę łazienki. Miała zamiar wziąć długą, gorącą kąpiel. Kiedy wyszła z wanny, skórę



miała zaróżowioną, a niedbale związane włosy wiły się niesfornie wokół twarzy. Zaczęła się spieszyć. Nie chciała, żeby John zobaczył ją w takim stanie. Kiedy wróci, zastanie ją ubraną, chłodną i pełną rezerwy.

Ale kiedy weszła do pokoju, John już tam był. Siedział w bujanym fotelu z nogami wyciągniętymi przed siebie, całkowicie odprężony. Pozwolił sobie tylko na rozluźnienie krawata, poza tym był nadal nienagannie ubranym, pewnym siebie bostończykiem.

- Nie sądziłem, że cię tu jeszcze zastanę - odezwał się, rzucając jej krótki, nic nie znaczący uśmiech. - Jestem zaskoczony, że się nie wyniosłaś. Teraz, kiedy Cynthia wyjechała..., myślałem, że zamkniesz się z powrotem w swojej pustelni.

- Ja... - Serena przygryzła wargę. Powinna wrócić do pokoju gościnnego, ale takie rozwiązanie nie przyszło jej do głowy. I to nie tylko ze względu na wizytę Lillian. Już przedtem zachowywała się dziwnie. Choćby to, że nie poszła do pracy. Przez cały dzień śniła na jawie, zapominając o rzeczywistości. Wszystko to nie miało sensu, lecz jeszcze bardziej bezsensowne było mówienie o tym Johnowi.

- Ja... - zaczęła znowu, próbując wymyślić jakieś usprawiedliwienie. - Nie miałam czasu.

- Miałaś cały dzień - zauważył przyglądając się jej uważnie. - To chyba dość czasu na przeprowadzkę. A może... - zerwał się z fotela i ruszył w jej stronę. - A może zdecydowałaś się zostać tutaj?

- Nie - odparła stanowczo, cofając się przed nim, dopóki nie poczuła za plecami słupka baldachimu.

- Nie łudź się.

- Po ostatniej nocy chyba mam prawo - zatrzymał się tuż przed nią. Uśmiech nie schodził mu z ust. - Nie udawaj bojaźliwej, moja droga. Nie po ostatniej nocy

- oczy płonęły mu niebezpiecznie. - Czy ci się to podoba, czy nie, musisz przyznać, że ta noc była niezwykła.

- Była czymś nienormalnym. Nie czułam się sobą.

- Bębniąc nerwowo palcami po słupku, zastanawiała się, jak mu to wyjaśnić. I w ogóle, co wyjaśnić? - Piłam sake.

- Niewiele. Pilnowałem cię!

- Pilnowałeś mnie?! Bałeś się, że się upiję? - Była wściekła.

- Nie chciałem, żebyś miała usprawiedliwienie, gdyby wieczór zakończył się tak, jak pragnąłem.

- Zaplanowałeś to sobie! - zawołała oskarżycielsko, zdecydowana nie cofać się dalej, chociaż, biorąc pod uwagę istnienie słupka, nie miała specjalnego wyboru. - Taki byłeś pewien?

-Nie. Kiedy chodzi o ciebie, nie jestem niczego pewien. Ale miałem nadzieję... Nadal ją mam - zrobił krok w jej stronę. -

Sereno, nie pogarszaj sytuacji. To małżeństwo nie musi zakończyć się fiaskiem. Ostatnia noc to coś, na czym można budować.

Wyciągnął rękę i delikatnie zsunął wstążkę z jej włosów. -

Przyznaj, że przyjęłaś z radością to, co się stało, i rozkoszowałaś się każdą chwilą, podobnie zresztą jak ja.

- Chciałbyś w to wierzyć - odparła próbując przewyciężyć nagły ucisk w gardle. Wiedziała, co on robi. Wyczuwała już ten prąd, który przebiegał dreszczem po ich ciałach. Tylko nie to! - Chcesz się dobrze bawić i nie mieć z tego powodu wyrzutów sumienia!

- To nieprawda - wsunął dłonie w jej włosy. - To jest nasza wspólna zabawa.

- Nie chcę jej! - uchwyciła się słupka baldachimu, jakby od tego zależało jej życie. - John, puść mnie.

- Nigdy - patrzył na nią jak zahipnotyzowany.

- Nie teraz. Nigdy, kochana.

- Ale nie możemy tak żyć - zaprotestowała słabo, próbując opanować łomot serca i bezwład ogarniający ciało. - Nigdy nie będziemy szczęśliwi.

- Byliśmy ostatniej nocy - pocałował ją szybko, rozchylając jej wargi. - Pamiętasz?

- Nie... - Kiedy ją znowu pocałował, zmiękła. Wiedziała już, że zwyciężył. - Nie grasz uczciwie - oskarżyła go, ale pozwoliła oderwać się od łóżka.

- Tak lepiej - powiedział, kiedy jej dłonie powędrowały w górę, by spocząć na jego ramionach. - Zobaczysz... uda nam się uratować to małżeństwo, zapomnieć, jak się zaczęło.

Zapomnieć? Ona nigdy nie zapomni. Ale to w niczym nie umniejszało uczuć, jakich doznawała, kiedy ją całował. Jej dłonie przywarły do niego z taką samą siłą, z jaką przedtem czepiały się słupka, jakby walczyła o życie. I tak rzeczywiście było. Jego miłość i poczucie bliskości były jej niezbędne do życia.

Próbowała zignorować dzwonek telefonu i oburzyła się na Johna, gdy przestał ją całować.

- Uratowana w ostatniej chwili - zażartował. - Ale nie na długo.

Serena opadła na łóżko bez sił. Rozmowa, którą John prowadził przez telefon, w ogóle nie dotarła do jej świadomości.

- Jesteś ocalona na jakiś czas - poinformował ją. Nie stracił nic ze swego opanowania, stwierdziła z żalem.

- To była Lillian. Mamy się stawić na przyjęcie ku czci jej zięcia.

Właśnie pojawił się na scenie. Cynthia musiała załagodzić sprawę.

Przyjęcie, wydane przez Lillian ze zwykłą niedbałą elegancją,

rozpoczęło się rodzinnym obiadem. Serena patrzyła na

zgrupowanych przy stole z wyraźną niechęcią.

Najmniej ciekawa grupa, jaka kiedykolwiek siedziała w tej jadalni, oceniła. Tkwiła między Gregorym a jego szwagrem i

żadnemu z nich nie miała nic do powiedzenia. Szwagier był

niewątpliwie tępy, natomiast Gregory, zazwyczaj czarujący

kompan, sprawiał wrażenie ogłuszonego. Nie spuszczał wzroku

z Cynthii i jej ojca, a w jego oczach malował się wyraz nabożnego

szacunku.

I nie ma co się dziwić, stwierdziła Serena. Zaledwie kilka dni

temu został porzucony przez żonę i doszedł do wniosku, że jego

małżeństwo należy do przeszłości. Następnie otrzymał rozkaz stawienia się w Bostonie, gdzie powiedziano mu, że może nadal uważać się za członka rodziny Wrightów. Wszystko to bez najmniejszego udziału z jego strony.

Serena współczuła mu nawet, chociaż z jego milczenia natychmiast skorzystała Mabel Stuart. Przechyliła się przez stół, ignorując zięcia, i zrobiła Serenie wykład na temat jej pozycji społecznej.

- Moja droga - zaczęła. - To wszystko bardzo pięknie, wykształcenie, praca, ale nie sądzisz, że posuwasz się za daleko?

- Nie przyszło mi to do głowy - odparła Serena z uśmiechem.

- Chyba nie chcesz robić kariery. Jest tyle pożytecznych rzeczy, którym mogłabyś się poświęcić.

Dobroczynność, na przykład, nie mówiąc już o życiu towarzyskim. Pod tym względem twój mąż ma jeszcze pewne braki. Ale ty pewnego dnia mogłabyś zostać działaczką społeczną, gdybyś teraz dokonała właściwego wyboru.

Pani Stuart miała jeszcze wiele do powiedzenia na temat jej przyszłości, ale Serena przestała słuchać.

Po obiedzie przybyli przyjaciele Cynthii.

- Należy im się trochę rozrywki - powiedziała Lillian, gdy przeszli do bocznego salonu, żeby potańczyć. Ojciec Sereny, John i pan Stuart wycofali się do biblioteki, pani Stuart i jej córka skierowały się w stronę bawialni. Serena miała zamiar pójść w ich ślady, kiedy zatrzymała ją Lillian.

- Poczekaj chwilę - szepnęła. - Ojciec chce z tobą rozmawiać. Nic nie wie o naszym dzisiejszym spotkaniu.

- Nie martw się, Lii. Nie powiem mu.

- To by go załamało. Nie powinnam ci mówić. I nie zrobiłabym tego, gdybym miała inne wyjście.

-W porządku. Lepiej, że wiem. I nigdy go nie zranię. No, uciekaj! Musisz bawić gości...

- Tak, te dwie nudne krowy - Lillian wzniosła oczy ku niebu. - Nie musisz mi towarzyszyć. Idź potańczyć, to nie powinno być aż tak nudne - uśmiechnęła się i zniknęła w drzwiach bawialni.

Przez chwilę Serena stała samotnie w głównym holu. Potem, pod wpływem nagłego impulsu, skierowała się w stronę schodów i zaczęła wolno wchodzić na górę. Jak za dawnych czasów, myślała. Przyjęcie nabiera rumieńców, a ja znikam.

Poszła prosto do swego dawnego pokoju. Najwyższy czas zrobić rachunek sumienia, zdecydowała. Całe dzieciństwo wydało się jej czymś obcym, teraz, kiedy znała całą prawdę o matce.

Przekreśliła kontakt. Pokój wyglądał tak samo, jak w dniu ślubu. Tylko ona była teraz innym człowiekiem.

Zmieniłam się nawet zewnętrznie, stwierdziła patrząc na swe odbicie w lustrze. Nie była to kwestia uczesania czy kroju sukienki. Sukienka była prosta, niezbyt ekstrawagancka, podobna do tych, jakie zwykle nosiła. A jednak efekt był bardziej uderzający. Wyglądała na mniej spiętą, mniej zasklepioną w sobie... na bardziej ożywioną? Usłyszała pukanie do drzwi.

- Mogę wejść? - dobiegł głos ojca. - Nikt nie wie, gdzie się podziewasz - wyjaśnił, zamykając drzwi.

- A ja pomyślałem, że pewnie tutaj. Nigdy nie przepadałaś za przyjęciami.

Wygląda na zmęczonego, pomyślała z nagłym niepokojem.

- Stuartowie nie należą do moich ulubieńców.

- Do moich także nie - przyznał - chociaż Gregory jest dobrą partią. Wiesz, że Josiah sprowadzi ich z powrotem do Bostonu?

Na Boże Narodzenie powinni być w domu. Cynthia będzie



musiała wytrzymać tam tylko dwa miesiące. - Zajął się studiowaniem fotografii na ścianach. - Ale co z tobą, kurczątko? - podjął po chwili. - Lii mówi, że John wypomina ci te, no... warunki naszej umowy - wyglądał na bardzo strapionego. - Czy to prawda?

- Do pewnego stopnia - odparła. Nie było sensu kłamać, skoro Lillian już się wygadała, ale Serena nie chciała martwić ojca po tym wszystkim, co dla niej zrobił. - To nic poważnego, tatusiu. John potrzebuje jedynie trochę czasu.

- Chyba wie, że to nie był twój pomysł? Jeżeli wbił sobie do głowy, że jesteś w to zamieszana, mogę go przekonać, że się myli.

- Nie sądzę, żeby to pomogło - odparła Serena ostrożnie, siadając na krawędzi łóżka. - Nie uwierzyłby.

- Będzie musiał - wybuchnął Ted Wright. - Niby dlaczego nie?

- Bo jest uparty i cholernie dumny, a cała ta sprawa jest tego rodzaju, że... trzeba się z nią oswoić. Ale to nie znaczy, że się nie kochamy - wysunęła ten sam argument, którego jej ojciec użył w dniu jej ślubu. - Nasze uczucia się nie zmieniły - powiedziała z trudem. Tak bardzo pragnęła, by to, co mówiła, było prawdą, że kłamstwo sprawiło jej ból.

-Jesteś pewna? - zapytał. Troska o losy córki walczyła w nim z chęcią uniknięcia nieprzyjemnej rozmowy.

-Tak - uśmiechnęła się dzielnie. - Wszystkie małżeństwa przechodzą przez okres adaptacji. Nie martw się, tato.

- Dobrze. Cieszę się, że tak się na to zapatrujesz. Lii mnie przestraszyła, ale skoro jesteś pewna...

- Jest tylko jedna rzecz... - dodała niedbale. - John sądzi, że ja wiedziałam o tym układzie. Nie rozumiem dlaczego.

- Nie wiesz? - ojciec był zaskoczony. - Przyszedł do mnie na przyjęciu weselnym i poprosił, żeby ci o tym nie mówić. Rzecz jasna, wiedziałas już o wszystkim od Cynthii. Musiałem mu powiedzieć! Nie mieliśmy dość czasu, więc nie mogłem wyjaśnić mu wszystkiego dokładnie. Mógł to odebrać jako potwierdzenie, że wiedziałas od samego początku.

- Chyba tak właśnie było - powiedziała Serena z udaną bez troską. Wyobraziła sobie, jak wyjaśnia to wszystko Johnowi. Sprawa była beznadziejna. - To zwykłe nieporozumienie. Nie martw się, tatusiu.

- Nie będę, tak długo, jak długo moja córeczka jest szczęśliwa - cmoknął ją w policzek. Odmłodził o całe lata. - John będzie dbał

o ciebie. Obie moje dziewczynki ustabilizowane i szczęśliwe. Tak zawsze chciałem.

Serena pomyślała o rozpaczliwej sytuacji, w jakiej obie się znalazły, ale ojciec nie musiał o tym wiedzieć.

- No, tatusiu! Nie sądzisz, że należy udzielić Lillian duchowego wsparcia?

- Masz na myśli Stuartów? - roześmiał się i zanim wyszedł z pokoju, jeszcze raz pocałował ją w policzek.

Serena siedziała na łóżku zatopiona w myślach. Wymyślenie tych paru kłamstw nie było łatwe. Byłoby jeszcze trudniejsze, gdyby ojciec nie przyszedł z silnym postanowieniem, że da się przekonać. Dostrzegła dzisiaj coś, czego nie zauważyła przedtem: ojciec zestarzał się w ciągu ostatniego roku. Kłopoty finansowe odebrały mu pewność siebie. Doszła do wniosku, że poślubienie Johna nie było wygórowaną ceną za wszystko, co Ted Wright dla niej zrobił. W przyszłości będzie myślała o swoim małżeństwie właśnie w tych kategoriach.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Serena miała sześć lat, kiedy umarła jej matka. W pamięci zachowała niewyraźny obraz ciemnowłosej kobiety, która pojawiała się w dziecinnym pokoju o dziwnych porach i zaraz znikwała, pozostawiając ją pod opieką pulchnej, wesolutkiej niani. Serena nie zaznała matczynej czułości, jej jedyną ostoją był ojciec. Gdyby nie on, czułaby się bardzo samotna. Dzięki Lillian wiedziała teraz o podwójnym życiu, jakie prowadził ojciec przez te wszystkie lata, a jednak zapamiętała go jako najlepszego towarzysza zabaw, zawsze gotowego poświęcić swój czas. Ożenił się z Lillian po rocznej żałobie i z tą chwilą wszystko zmieniło się na lepsze. Dom ożył, nagle zaczęto się w nim śmiać, zasiadać razem do posiłków, przyjmować przyjaciół. Co prawda siostry nie miały ze sobą wiele wspólnego. Różniły się usposobieniem, a poza tym Cynthia była o dwa lata młodsza. Niemal dziecko, myślała wtedy Serena. Ona była już w pierwszej klasie, siostra zaś chodziła jeszcze do przedszkola. Dwa lata stanowiły wówczas przepaść...

Teraz Serena znów pomyślała o dzielącej je różnicy wieku. Cynthia urodziła się dwa lata później, a przecież Lillian mówiła...

Co ona powiedziała? Serena próbowała się skupić. „Na długo zanim się urodziłaś... był mi wierny” - powiedziała Lillian.

Więc to Cynthia była córką Teda. Cynthia, która - według „oficjalnej wersji” - należała do Wrightów tylko dzięki adopcji, jako dziecko Lillian z pierwszego małżeństwa! Nie do wiary! John ożenił się z nią, gdyż nosiła nazwisko Wright, a stary Stuart odnosił się niechętnie do małżeństwa syna z Cynthią, ponieważ „Cynthia nie należała do rodziny. Kto wie, kim był jej ojciec”.

Niewiarygodne! I takie niesprawiedliwe.

- Renie! - Cynthia zajrzała do pokoju. - Co ty tu robisz?

Serena spojrzała na nią jak na zjawę.

- Myślę.

- Powiedz raczej: chowam się. - Twarz Cynthii była zarumieniona, włosy w nieładzie. Zrzuciła pantofle i usiadła przy toalecie. - Szukałam miejsca, gdzie można by odpocząć i zobaczyłam światło - wyjaśniła. Przejrzała się w lustrze. -

Powinnaś zejść. - Minęły już przecież te czasy, kiedy wymykałaś się z przyjęcia, bo czułaś się samotna. Teraz masz Johna. Jest wprawdzie uziemiony w bibliotece ze Stuartem, ale nie zostanie tam na zawsze.

- To nie ma znaczenia - Serena wzruszyła ramionami. - Wiem, że Stuart jest dla niego ważny.

- Mhm. Rzeczywiście fantastyczna okazja - przyznała Cynthia z roztargnieniem. Przetrzęsała teraz szufladki w poszukiwaniu grzebienia. - Tyle tylko, że stary jest śmiertelnie nudny. Słyszałaś, co ma zamiar zrobić? - doprowadziła włosy do porządku. - Chce nas sprowadzić z powrotem do Bostonu.

- Tatuś mówił, że na Boże Narodzenie.

- Dwa miesiące! - powiedziała Cynthia marząco. - Jeszcze tylko dwa miesiące w tym bagnie i wypnę się na wszystko. Wracam do domu. Wiesz... - odłożyła grzebień i odwróciła się twarzą do siostry. - Nie mam zastrzeżeń do męża. Denerwuje mnie tylko to miasto, gdzie nikt nas nie zna i my nie znamy nikogo.

- Wiec jesteś szczęśliwa? - zapytała Serena z powątpiewaniem.

- W wystarczającym stopniu - przyznała Cynthia. - A będę jeszcze szczęśliwsza, kiedy tu wrócę. Pan S. da nam więcej na życie, dopilnuje, żebyśmy mieli ładny dom. Kto wie? Może będziemy sąsiadkami. Chociaż nie. Potrzebujemy czegoś większego, domu, w którym można by przyjmować gości.

- Ale czy to wystarczy? - nalegała Serena. - To tylko rzeczy.

Pieniądze, dom.

- No cóż, to już sporo - odparła Cynthia z namysłem. - Zawsze różniłyśmy się pod tym względem. Wiem, że dla ciebie to nie ma znaczenia. Jeśli się poślubiło Johna, można zapomnieć o finansach. Ja muszę dbać o dobre układy z panem S.

A powinno być odwrotnie, pomyślała Serena.

- Czy to cię męczy? - zapytała ostrożnie. - Nie wolałabyś poślubić Johna?

- Daj spokój! - roześmiała się Cynthia. - Nagadałam ci głupstw, bo byłam nieszczęśliwa, chora na myśl o powrocie do Houston.

- Nie, powiedz szczerze. Czy kiedykolwiek myślałaś o poślubieniu Johna albo kogoś takiego jak John?

-Masz na myśli kogoś tak niesamowicie podniecającego, ale bez nazwiska? Nie, szczerze mówiąc, nie. Nie miałabym nic przeciw romansowi, ale małżeństwo? Nie, dziękuję bardzo! Bez wątpienia wolę być panią Stuart, być na samym szczycie. Ty i John przez całe życie będziecie toczyć walkę. „Bourque? A cóż to za nazwisko? Kim są ci ludzie?” - parodiowała ze śmiechem. -

Dlatego tak dobrze jest wżenić się w wyższą sferę. Ludzie

zapominają, kim byłaś. Spójrz na mamę. Nikt już nie pamięta, że kiedyś była nikiem.

- Po części dlatego, że nie popełnia błędów - zauważyła Serena. - Jest doskonała.

- Musiała się tego nauczyć - powiedziała Cynthia beznamiętnie. - A ja już to wiem. Zostanę zaakceptowana o wiele szybciej niż ona.

- Tak czy inaczej, to nie fair.

- A co w życiu jest fair? - Cynthia wzruszyła ramionami. - Nie mam zamiaru zajmować się takimi głupstwami.

- Ale... - Serena wzięła głęboki oddech zdecydowana kontynuować temat - pamiętasz, co powiedziałaś w czasie lunchu?

- Wczoraj - sprecyzowała Cynthia z nieodgadnionym uśmiechem.

- Wydaje się, że od tego czasu minął rok, prawda?

- Ale pamiętasz?

- Renie, mówiłam wiele rzeczy. Skąd mogę wiedzieć, co pamiętam, a czego nie?

- O rodzinnym skandalu.

- Już ci mówiłam. Zmyśliłam to.



- Doprawdy? - zapytała Serena sceptycznie. - Nie wydaje mi się.

- A powinno - powiedziała Cynthia z naciskiem. Nie była zła, tylko bardzo pewna siebie. - Rodzinne skandale należy zostawiać w spokoju.

-Ale... - Serena urwała. Zrozumiał, że Cynthia wie, zrezygnowała z dyplomacji. - Ale to jest takie niesprawiedliwe.

- Wcale tak nie myślę! - Cynthia odłożyła grzebień zdecydowanym ruchem. - Załóżmy, że obie wiemy, o czym mówimy, i że to prawda. Ty sądzisz, że to niesprawiedliwe, a ja wręcz przeciwnie. Myślę, że jest to jeden z życiowych kompromisów. Wokół osoby mamy, czy mojej nie pojawił się nigdy nawet cień skandalu. Oficjalnie mama była młodą wdową samotnie wychowującą dziecko. Była nikim, z punktu widzenia pozycji społecznej, ale to jeszcze nie grzech. Sereno, mogę nie być panną Wright, to nie ma znaczenia. Ja nie potrzebuję tej ochrony, natomiast ty bardzo.

- W jaki sposób się dowiedziałaś? - zapytała Serena niemal szeptem. - Kiedy?

- Słuchaj, nie jestem w ogóle pewna, czy to prawda. Wiem tylko to, co ludzie gadają. Może ktoś wiedział coś o twojej matce.

Zawsze się z tego śmiałam i pytałam, czy ktoś widział większą purytankę niż ty. To zawsze zamyka im gębę. Nie przejmuj się. To nie ma znaczenia.

-Ale... - Cynthia przemawiała do niej takim samym tonem, jakim ona uspokajała ojca zaledwie parę minut temu. Okazało się, że łatwiej być stroną pocieszającą niż pocieszaną. - Tak czy inaczej, to nie jest uczciwe.

-Posłuchaj, Renie. Tatuś odwalił kawał dobrej roboty, chroniąc całą naszą trójkę. Sądzę, że my z mamą wyszliśmy na tym najlepiej, więc jeśli jeszcze raz zaczniesz gadać, że coś jest nie w porządku, dostaniesz ode mnie w skórę. A poza tym, żadna z nas nie ma pewności, że to prawda.

- Ja mam.

- Masz? Ciekawe skąd? Nie było cię przy tym, prawda? No, przestań - Cynthia zerwała się z krzesła, chwyciła Serene za rękę i pociągnęła za sobą. - Dość tego gadania. Wracam do gości, a ty ze mną.

- Nie mam ochoty... - protestowała słabo Serena.

- Chodź, Renie! Zabawimy się. Przynajmniej spróbujemy - zdecydowała Cynthia. - Żadnych wymówek!

Na dole nie było ani śladu Johna.

Urabia starego Stuarta, pomyślała Cynthia. Dam mu jeszcze dziesięć minut, a potem wchodzę. Tymczasem znalazła tancerza dla Sereny, ale siostra pozbyła się go przy pierwszej okazji, umknęła w jakiś spokojny kąt i oddała się rozmyśleniom.

Jak Cynthia mogła zachowywać się z taką obojętnością? Jak mogła znosić tę rodzinną fikcję?! Tę wieczną walkę o zachowanie pozorów? Jak mogła...?

- Zatańcz ze mną! - John zmaterializował się nagle, wyrywając ją z zadumy. Gapiała się na niego nieobecny, nic nie rozumiejącym wzrokiem.

- Zatańcz ze mną - powtórzył.

To nie jest prośba, to rozkaz, zauważyła. On nie daje mi wyboru. Nie pozwoli mi nawet porozmyślać nad końcem świata, który nastąpił w moim życiu. Na dodatek ktoś puścił nastrojową muzykę i przygasił światła. Takie już moje szczęście. Serena wzięła głęboki oddech, próbując uodpornić się na fizyczny kontakt, którego tak rozpaczliwie pragnęła uniknąć.

- Odpręż się, kochanie - poradził John i wziął ją w ramiona. Jego uśmiech zdradzał, że odgadł jej myśli.

– Czy to takie nieprzyjemne?

Gorzej niż nieprzyjemne, pomyślała, przygryzając nerwowo wargę. Nigdy przedtem z nim nie tańczyła; nie była przygotowana na efekt takiego zbliżenia. Niełatwo było zachować spokój, czując jego oddech na włosach, wdychając zapach jego ciała.

- Nic mi nie powiesz? - zapytał po chwili.

- Próbuję nie nadebrać ci na nogę.

- Taki ze mnie kiepski tancerz?

- Nie! - odparła ze złością. Wiedziała, że tańczy świetnie. - To moja wina.

-Z innymi partnerami radzisz sobie doskonale - zaprotestował. - Obserwowałem cię.

- Ciekawe kiedy! Spędziłeś cały wieczór zamknięty w bibliotece ze Stuartem.

- Nie cały wieczór, moja droga. Miałem wrażenie, że nieźle się bawisz.

- Robiłam, co mogłam... idąc za radą Cynthii.

- Och, Cynthia! Mądra dziewczyna.

- Owszem - zgodziła się z nagłym poczuciem winy.

- To z nią powinieneś się ożenić.
- Była już zajęta - zauważył zaskoczony. - A poza tym, chciałem ciebie.

Chciał, pomyślała Serena. Nie kochał, tylko chciał.

- Chciałeś żony z możliwie najlepszym nazwiskiem.
- Ciągłe mi to powtarzasz, więc chyba to prawda - zgodził się beztrąsko. - Dzięki tobie mam prawo obracać się w kręgach bostońskiej arystokracji, a nawet... - zastanowił się chwilę, po czym przytulił ją mocniej -.. .a nawet więcej. Skupiłem przecież na sobie niepodzielną uwagę Stuarta seniora.
- Cóż za zaszczyt! - Serena nie ukrywała sarkazmu.
- Jesteś chyba zadowolony.
- Tak i zaskoczony jego obłudą. Uratowałem małżeństwo jego syna, więc uważa, że jest mi coś winien. Musisz przyznać, że to szczyt wyrachowania.
- Oczywiście - odparła bezmyślnie. Nagle odczuła nie znaną jej dotychczas, obezwładniającą przyjemność, jaką daje poddanie się sile czyichś ramion, przyjemność tańca. Nie podejrzewała nawet, że taniec polega na odkrywaniu fizycznej bliskości partnera, na wtapianiu się w ciało kochanego człowieka, na całkowitym

oddaniu. To samo czuła wczoraj, kiedy... Nie! Nie będzie myślała o ostatniej nocy.

-Tak, to szczyt wyrachowania - podchwyciła wątek rozmowy. Lepiej trzymać się teraźniejszości.

- Ale może Cynthia i Gregory będą szczęśliwi.

- Szczęśliwi? - powtórzył John sceptycznie. - Czy w waszej sferze szczęście ma znaczenie? Liczą się korzyści. Cynthia wystarczyła chwila namysłu, by zrozumieć, że nie chce stracić przywilejów wynikających z faktu bycia panią Stuart. Jej mężowi było najprawdopodobniej wszystko jedno, byle uniknąć skandalu związanego z rozwodem. A spójrz na siebie - przerwał dla lepszego efektu. Czuła już ból, który miał jej za chwilę zadać. - Co ty zrobiłaś? Popełniłaś megalomanię po to, by uratować reputację ojca i ocalić rodzinę.

- To nieprawda! - zawołała z pasją. - Nigdy nie myślałam o tobie w taki sposób! Nigdy! Jak możesz! Chyba znasz mnie na tyle, by wiedzieć, że nie jestem zdolna do czegoś takiego!

-A to co znowu? - uśmiechnął się. - Gierki z minionego lata?

- Ja... - urwała wbijając w niego udreńczony wzrok. Już nie wspomnienie, nie dziewczyna, lecz gierki z minionego lata.

Dziewczyna przestała istnieć, dał jej to wyraźnie do zrozumienia. Oddałaby wszystko za powrót tamtego lata, kiedy zdawało się jej, że są zakochani.

- O co chodzi, kochanie? - uśmiechnął się kpiąco. - Odjęło ci mowę?

- Nie - zachwiała się na nogach. Nagle ujrzała przebłysk swego przyszłego życia. Nie tylko przebłysk. Ujrzała całą przyszłość z oślepiającą jasnością. Ciągła tortura jego szyderstw, życie bez miłości - to ponad jej siły. Zabrakło jej tchu, czuła, że albo zemdleje, albo zrobi coś strasznego. Musiała stąd uciec, natychmiast.

- Idź do diabła, John! - wyszeptała z pasją i uwolniła się z jego objęć.

Przepychała się na oślep przez tłum tańczących. Byle dalej od Johna. Musi się stąd wydostać, znaleźć miejsce, gdzie będzie mogła zaczerpnąć powietrza. Żeby tylko udało się jej uciec.

-Małe nieporozumienie kochanków? - usłyszała tubalny głos Stuarta. - Panny Wright potrzebują mocnej ręki. Będziecie mieli z Gregorym kupę roboty...

Stuart mówił do Johna. Cóż za ironia losu! Stuart był jedynym człowiekiem, dla którego John musiał być uprzejmy. To go zatrzyma na parę minut - wystarczająco długo, by mogła uciec.

- Sereno! - Lillian wyrosła przed nią w holu. -Dokąd ty się wybierasz? - zapytała marszcząc brwi.

- Na dwór - odparła krótko. - Zaczerpnąć powietrza.

- Za późno na spacer. Zawołam Johna.

- Nie fatyguj się, rozmawia z panem Stuartem. -Serena sięgała już do klamki. - Zaraz wracam - skłamała zamykając za sobą drzwi.

Zbiegła po schodach, zastanawiając się dokąd pójść. Znajdowała się na rogu Commonwealth Avenue i Dartmouth Street. Jeżeli tu zostanie, John dopadnie ją w mgnieniu oka. Ruszyła w stronę parku.

Jak dobrze, myślała oddychając głęboko. Noc była zadziwiająco ciepła, wiał lekki wiatr, a po czystym niebie pływały strzępy chmur.

Wymarzona noc, pomyślała Serena wsłuchana w echo swoich kroków. Musiało być późno. Ulice były wyludnione. Za późno na spacer?



Nie dla mnie, zdecydowała, unosząc wojowniczo głowę. Niech tylko ktoś spróbuje ją zaczepić; rozerwie go na sztuki.

Przebiegła wzdłuż Marlborough, nie zwracając uwagi na światła, przecięła Clarendon i Barkeley i zanurzyła się w mrok ogrodów.

Udało się! John nie znajdzie jej tutaj. Weszła w jakąś ciemną alejkę i wtedy poczuła na ramieniu żelazny uścisk czyichś palców.

- Do wszystkich diabłów! - poznała głos Johna, zanim zdążyła się przestraszyć.

- Co ty, do cholery, robisz! Szukasz śmierci?

- Nie twój interes!

- Owszem, mój. Jesteś moją żoną!

- Nie jestem twoją żoną. Jestem twoją własnością! - zawołała oskarżycielsko, unieruchomiona w jego uścisku. - Chcesz tylko chronić swoją inwestycję!

- Tak myślisz?

- Nie myślę, wiem! Zapłaciłeś za mnie - przypominasz mi o tym każdego dnia! - krzyczała. - Niedobrze mi się robi od tych oskarżeń, mam dość udręki i twojego niedowierzania, karania mnie za coś, czego nie zrobiłam! Jeżeli jeszcze raz usłyszę, ile za mnie zapłaciłeś, to... to...

- To co? - oczy błysnęły mu niebezpiecznie. - Co zrobisz?
- Nie wiem! Zacznę krzyczeć albo cię uderzę - zagroziła.
- Nie lepiej byłoby mnie opuścić? - zapytał zachęcająco, obracając jej twarz ku sobie. Dopiero wtedy uchwyt jego palców zelżał. - Jeżeli jesteś tak niewinna, jak chcesz mi to wmówić, dlaczego nie odejdiesz?
- Wiesz, że nie mogę! - Satysfakcja, jakiej doznała wyładowując gniew, zniknęła momentalnie w zetknięciu z nieubłaganą rzeczywistością. - Mój ojciec...
- Dlaczego chcesz go osłaniać, skoro jesteś przez to nieszczęśliwa? Już ci mówiłem - nie pójdzie do więzienia. Z pewnością jest gotów narazić się na wstyd, jeżeli wymaga tego dobro jego córki.
- Nie mogę tego zrobić...
- Oczywiście, że nie - zgodził się. - Pozory, tylko one się liczą dla ludzi takich jak ty. Zrobisz wszystko, żeby tylko jego mała tajemnica nie wyszła na jaw.
- Mylisz się - rzuciła mu gniewne spojrzenie. Czowała, że wściekłość odbiera jej rozsądek. - Jesteś wyrachowany. Nie wiesz, co to znaczy kochać kogoś, dbać nie tylko o swoje interesy! Nigdy nie zrezygnowałbyś z obranej drogi dla czyjegoś dobra. Ale mój

ojciec to zrobił... Nie jestem jego córką. Jestem - nie wiem, kim jestem - głos jej się załamał. Dopiero wypowiadając te słowa na głos uświadomiła sobie ich znaczenie. Poniosły ją emocje, nie panowała już nad sobą, nie zdawała sobie nawet sprawy, że mówi do Johna. - Moja matka była puszczalska. Spała z każdym... tylko nie z... On wiedział, że nie jest moim ojcem, ale zachował to w tajemnicy. Wszyscy myśleli... ja myślałam... że jestem jego córką, ale nie jestem... Chronił mnie przez całe życie, a teraz ja będę go osłaniała - tylko tyle mogę zrobić... tylko tak mogę odplacić mu za to wszystko.

- Sereno, dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Nie wiedziałam! - Nie wiedziała także, że płacze, dopóki John nie podał jej chusteczki... John. Zapomniała, że on tu jest. - Pewnie w to też nie uwierzysz, ale dowiedziałam się dopiero dzisiaj rano.

- Cóż za niezwykły zbieg okoliczności! - Nie uwierzył jej, tak jak przypuszczała.

- Tylko ty możesz myśleć w ten sposób! - była teraz zbyt zła, żeby płakać. - Lillian mi powiedziała, i to tylko dlatego, że przyznałam się, że chcę się z tobą rozwieść, że nie obchodzi mnie, co się stanie

z ojcem. Powiedziała jej, że nie widzę powodu, by cokolwiek dla niego robić, skoro on dba więcej o pieniądze niż o mnie.

Dlatego mi powiedziała, ponieważ to, co chciałam zrobić, bardzo by go zraniło. Lillian nie myślała o jego reputacji! Myślała o tych latach, kiedy mnie chronił...

- Tych latach, kiedy zachowywał pozory - wtrącił gładko, ale Serena nie przyjęła tego do wiadomości.

- Nie! Nie o to mu chodziło, nie wtedy, kiedy byłam dzieckiem! Miałam sześć lat, kiedy umarła matka. Prawie jej nie pamiętam, ale pamiętam ojca, jak się ze mną bawił... A kiedy ona umarła... -

Serena znowu płakała, bezskutecznie próbując ocierać łzy chusteczką Johna. - Byłabym zupełnie sama, gdyby nie on. Byłam bękartem, nadal nim jestem, ale...

- Nie gadaj głupstw - powiedział szorstko i chwycił ją za ramiona.

— Nie chcę tego słuchać...

- Dlaczego nie? - zapytała przez łzy, spodziewając się, że za chwilę nią potrząśnie. - To prawda! Wiem, że nie dostałeś tego, za co zapłaciłeś, nie jestem jego córką. Zapłaciłeś za pokrewieństwo z Wrightami, ale go nie zdobyłeś! Będziesz musiał zdecydować, czy wystarczą ci pozory, czy...

- Na litość boską! - krzyknął, zaciskając palce na jej ramionach. -  
Przestań, Sereno!

- To dziwne, ale nie potrząsnął nią, tak jak się tego spodziewała.  
Zamiast tego przytulił ją do siebie. - ...czy chcesz rozwodu -  
dokończyła głosem stłumionym przez jego marynarkę.

- Nie chcę rozwodu.

- Ale parę osób wie - szlochała. - A przynajmniej coś podejrzewa.

- Nie chcę rozwodu - powtórzył. - Uspokój się, Sereno, nie płacz!

- Ale Cynthia mi powiedziała...

- Nic mnie to nie obchodzi - odsunął się na tyle, by spojrzeć jej w  
twarz. - Nie chcę rozwodu - powiedział po raz trzeci. - Chcę  
ciebie. Zawsze chciałem.

-Ale...

- Sereno, bądź cicho! - tym razem potrząsnął nią, ale bardzo  
delikatnie. - Chcę ciebie od tego pierwszego dnia, od chwili,  
kiedy poszliśmy na cmentarz i odkryłaś te litery...

-J.N. - Dotarło do niej tylko to jedno słowo i uczepliła się go  
kurczowo.

- ...i zupełnie o mnie zapomniałaś... A ja przestałem cię jedynie  
chcieć i zakochałem się.

- Dlaczego? - zapytała z zapartym tchem.

- Nie wiem, dlaczego - wyznał z bezradnym uśmiechem. -

Ponieważ byłaś taka naturalna, taka szczęśliwa, taka zaabsorbowana swoim odkryciem. Twoja niewinność aż biła w oczy i zrozumiałem, że to nie jest przelotne uczucie.

- Ale kiedy się pobraliśmy, powiedziałaś...

- Wiem, co powiedziałem - przyznał z grymasem bólu. - Ale byłem przekonany, że kłamiesz w żywe oczy. Tyle rzeczy nam się nie udało, począwszy od tamtej nocy w lipcu, kiedy twój ojciec wpadł w szal. To było zupełnie bezsensowne, chociaż teraz, kiedy powiedziałaś mi o swojej matce, rozumiem, co go niepokoiło, dlaczego tak ostro zareagował. Masz rację co do jednej rzeczy. Rzeczywiście ofiarowałem mu pieniądze - przyznał spokojnie - ale nie po to, by cię kupić, ale żeby przełamać impas. Zapytałem, co mogę zrobić, żeby zmienił zdanie. Słyszałem o jego kłopotach finansowych, a ponieważ pieniądze są jedyną rzeczą, jaką posiadam, więc mu je zaproponowałem. W zamian poprosiłem o zgodę na małżeństwo. Nawet wtedy nie przyszło mi do głowy, że możesz brać w tym udział - ciągnął po chwili. - Aż do następnej rozmowy z twoim ojcem, zaraz po ślubie. Powiedziałem mu, że

musimy bardzo uważać, żebyś się nie dowiedziała o naszej umowie. Nigdy nie zapomnę, jak na mnie spojrzał, a potem powiedział, że przecież wiesz o wszystkim. To było jak grom z jasnego nieba. Byłem taki pewny, że jesteś inna, taka słodka i niewinna. Jeżeli wiedziałaś, to znaczyło, że bierzesz udział w najdziwniejszej transakcji, o jakiej słyszałem. To było wymuszenie pieniędzy za obietnicę małżeństwa. Od razu uznałem, że popełniłem błąd, zrobiłem z siebie totalnego głupca. I to właśnie wtedy, gdy po raz pierwszy w życiu uwierzyłem w swoje szczęście.

- Ale powiedziałaś... - urwała, przygryzając wargę.

- Po ślubie, kiedy próbowałam wyjaśnić, powiedziałaś, że ożeniłeś się ze mną, aby wejść do naszej sfery. Powiedziałaś, nigdy tego nie zapomnę, że teraz już żaden bostończyk nie zamknie ci drzwi przed nosem.

- Byłem wściekły. - W oczach Johna odmalował się ból. - Moja duma porządnie ucierpiała. Teraz wiem, że popełniłem błąd, ale wtedy wszystko układało się w logiczną całość. Jaki mogłaś mieć powód wychodząc za mnie, pomimo wszystkich moich braków?

- Braków? - zapytała zerkając na niego przez łzy.

- Jakich braków?

- Braku wychowania, wykształcenia, pochodzenia...

- Nigdy nie zwracałam na to uwagi - zaprotestowałam.

- Ale ja tak - odparł ponuro. - Dlatego tak łatwo uwierzyłem, że to nie uczucie skłoniło cię do małżeństwa ze mną.

- Ja myślałam to samo o tobie. - To, co mówił, miało sens. Gdyby tylko mogła mu uwierzyć! - Naprawdę nie chodziło ci o związanie się z najlepszą rodziną w Bostonie?

- Nie, kochana - odparł z ledwo dostrzegalnym uśmiechem. -

Nigdy. Jeżeli bywałem na niektórych przyjęciach, to tylko ze względu na działalność charytatywną. Ale zabiegać o akceptację wyższych sfer? - potrząsnął głową. - Nigdy nie miałem takiej potrzeby.

Jestem człowiekiem sukcesu, moje domy sprzedają się dlatego, że są solidnie zbudowane, a nie dlatego, że utrzymuję odpowiednie kontakty towarzyskie.

- Ale... te przyjęcia, na które chodziłeś z Cynthią, i to dzisiejsze? - przypomniała, pełna wątpliwości.

- Wyglądało na to, że mam w tym jakiś cel? - podsunął. -

Pasowało do całej reszty, tak?



- Oczywiście, że tak. Jedyna różnica między tobą a śmietanką towarzyską polega na tym, że jesteś znacznie mniej nudny.

-Och, Sereno! - roześmiał się, patrząc na nią nieobecny wzrokiem. - To mi przypomina tamtą dziewczynę, którą poznałem latem. Wiesz, co sobie pomyślałem, kiedy Serena Winslow Wright napisała do mnie prosząc o pozwolenie obejrzenia mojego komentarza? Pomyślałem, że jest albo najgorszą snobką pod słońcem, albo zaszuszoną starą panną. To, co zobaczyłem, trochę mnie zaskoczyło, delikatnie mówiąc. A to, co powiedziałaś podczas pierwszego obiadu, że jestem przewrażliwiony na punkcie swojego pochodzenia, wprowadziło mnie niemal w osłupienie.

- Byłeś taki pewny siebie, taki imponujący, że trudno mi było uwierzyć, że to cię w ogóle obchodzi.

-Więc powiem ci, że rzeczywiście tak było, ale wtedy uświadomiłem sobie, że mam przed sobą pannę, w której żyłach płynie czysty błękit - Wright Winslow w jednej osobie. Nie mogłem myśleć o tobie jak o jeszcze jednej atrakcyjnej dziewczynie, w której zdarzyło mi się zakochać w czasie jednego popołudnia. Byłaś z innego świata, z zupełnie innej ligi.

-Z czego? - śmiała się, jakby znowu było lato i tamten wieczór, kiedy czuła się wolna i wyzwolona.

- Nie z twojej ligi?

- Tak wtedy myślałem - zapewnił ją - dopóki nie opowiedziałaś mi o swoich przodkach, o tym facecie ze statku „Mayflower”, pijanym w trupa pod drzewem genealogicznym.

- Johnie Billingtonie - uzupełniła.

- Obojętnie, jak się nazywał. Nie chodzi o jego nazwisko, ale o to, że niewiele o niego dbałaś. Pomyślałem sobie, że być może jest jakaś nadzieja dla biednego wiejskiego chłopca.

- John, nie nazywaj tak siebie! - zawołała z zaciętrzewieniem. Tak samo jak tego pierwszego wieczoru. –Nie jesteś... -urwała, ogarnięta śmiechem. -Trudno nazwać cię chłopcem, poza tym nie jesteś biedny, a jeżeli jesteś wieśniakiem, to Boże chroń mnie przed arystokracją. Nigdy nie chciałam do niej należeć, a kiedy ciebie spotkałam... John? - zapytała wstrzymując oddech - czy to naprawdę takie proste?

- Mam nadzieję - powiedział żarliwie i przytulił ją do siebie. - Jeżeli mi uwierzysz i wybaczysz to, co zrobiłem... Nie mam żadnego usprawiedliwienia poza tym, że bardzo długo byłem

sam, nie pozwalałem nikomu zbliżyć się do siebie... Dopiero tam, na cmentarzu... - wziął głęboki oddech. - Sereno, nie sądzę, żeby to było proste! Żadne z nas nie może udowodnić, że mówi prawdę, chociaż ja ci wierzę. To, co wydawało mi się sprytnie uknutą intrygą, ta niewiarygodna scena z twoim ojcem, twój upór, wcale nie były zaplanowane. To tylko koszmarne nieporozumienie i echa przeszłości, o której nic nie wiedzieliśmy.

- Wierzysz w to? - zapytała ostrożnie.

- Tak, całkowicie - powiedział z powagą. - Pytanie, czy ty możesz uwierzyć, że to, co robiłem, wynikało ze zranionej dumy. Nie jestem taki pewny siebie, jak zdajesz się sądzić. Od samego początku wydawało mi się to zupełnie nieprawdopodobne, że ktoś taki jak ty chce wyjść za kogoś takiego jak ja...

- To rzeczywiście trudne do uwierzenia - odparła śmiejąc się. - John Bourque niepewny siebie?

- Cholernie niepewny, jeżeli chodzi o ciebie - przyznał z nieśmiałym uśmiechem. - Już ci mówiłem, jesteś nie z tej ligi, milady.

- Myślałam to samo o tobie. I dlatego tak łatwo uwierzyłam, że ożeniłeś się ze mną tylko ze względu na moją pozycję społeczną i dlatego byłam zazdrosna

o Cynthię - wyznała szczerze. - Byłam pewna, że ty i ona... No, wiesz!

- Dlatego ją u nas zatrzymałem - uśmiech pojawił się w kącikach jego ust. - Miałem nadzieję, że będziesz zazdrosna lub że jej pobyt wyrwie nas z tego marazmu.

-Wyrwał mnie, nie ma co! - przyznała z zawstydzeniem. - Tak dokładnie, że odstawiłam dla ciebie striptiz.

- Och, tak! - uśmiechnął się na to wspomnienie. -Ten nieprawdopodobny, cudowny striptiz... Wtedy dopiero uwierzyłem, że to wszystko może się jeszcze dobrze skończyć.

- Może - położyła nacisk na to słowo. - Przecież potem byłam szczerą. Powiedziałam, że cię kocham!

- Ale wyglądało to tak, jakbyś chciała zachować pozory, usprawiedliwić to, co zrobiłaś. — Niepewność nie znikła z jego oczu. - Sereno, co byś pomyślała, gdybym nagle wyznał, że cię kocham? Uwierzyłybyś?

- Nie wiem - przyznała niepewnie. - Uwierzyłamby. .. Dopóki nie zrobiłbyś znowu czegoś, co by temu zaprzeczyło.

- Ale teraz wierzysz? - zapytał. - Czy wierzysz, że kocham cię nad życie?

- Tak - odpowiedziała po prostu, po czym widząc pytanie w jego oczach, dodała: - Ja także cię kocham.

Stała jak zahipnotyzowana, gdy pochylił głowę i chwycił wargami jej rozchylone już wargi. Całował ją z pożądliwą natarczywością, wciągając ją w tę tajemniczą otchłań, gdzie ich ciała zlewały się w jedno.

- To szaleństwo - głos mu się rwał. - Za każdym razem, kiedy cię całuję, mam tę nieodpartą ochotę...

- Na co? - dopytywała się z udaną niewinnością, oplatając mu szyję ramionami.

- By wyjąć szpilki z twoich włosów - roześmiał się na widok wyrazu jej twarzy. - Pamiętasz, ten pierwszy raz? - zanurzył palce w jej włosach. - Sereno! Byłaś tak blisko. Czułem, że odnalazłem swój dom.

- Ja też - powiedziała sennie, szukając ustami jego ust. - Chciałam zostać tam na zawsze. Teraz chcę...

- Tak, ale nie jest to ani miejsce, ani pora po temu.
- Dlaczego nie? - zaprotestowała.
- Ponieważ jest środek nocy i jesteśmy w parku.
- Nie dbam o to.
- Kochanie, nie możemy tu zostać - zauważył rozsądnie. - Mogą nas zaaresztować, napaść...
- Nie sądzę. To mi przypomina ten wieczór w lipcu, kiedy chciałeś się ze mną kochać na trawie, a ja okazałam się takim tchórzem. Ale teraz jestem odważniejsza - wspięła się na palce, żeby go pocałować - i noc jest bardzo ciepła.
- Nie aż tak ciepła - zaprotestował niepewnie.
- Kochanie, nie kuś mnie. Chcę mieć cię w domu.
- Tamtego wieczora niebo rozświetlały sztuczne ognie - powiedziała. - Gdybyśmy zostali tutaj, moglibyśmy patrzeć na gwiazdy i udawać... Jeżeli pójdziemy do domu, nie będzie fajerwerków.
- Ależ będą! Kochanie, obiecuję ci, że będą. I rzeczywiście były.